

**ALFRED HITCHCOCK**

# **UCHO SZATANA**

**NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

**(Przełożyła: KRYSTYNA BOGLAR)**

## ROZDZIAŁ 1

### CO ZNALEZIONO W LODACH CYNAMONOWYCH?

- Jeśli dalej będziesz jadła tyle lodów, to przyjdzie ci kupować sukienki w sklepie z namiotami! - roześmiał się Pete Crenshaw, przysiadając na zielonym krzeselku.

- Pete? - oczy dziewczyny zabłysły niczym dwie latarenki. - Skąd się tu wziąłeś?

- Z klubu. Skończyłem trening. Przyszedłem się czegoś napić. Hej, mała, poproszę o sok pomarańczowy!

Kelnerka uśmiechnęła się. Miała rude włosy i piegi na całym ciele. Z powodu upału nosiła tylko krótkie spodenki i wąski staniczek. Wyglądała jak różowa landrynka obficie posypana makiem.

- Nic się nie zmieniłeś, Pete - wtrąciła Lucy, obserwując bacznie wzrok, jakim Crenshaw odprowadzał kelnerkę. - Podrywasz dziewczyny, gdzie się da! Wciąż tkwisz w tej waszej śmiesznej Kwaterze Głównej?

Pete wzruszył ramionami. Lubił Lucy, ale było to dawno i nieprawda. Pulchna blondynka o zadartym krótkim nosku, zwana przez znajomych "Miss Piggy", nie na długo zagościła w jego sercu. Trwało to chyba ze sześć dni. I tak o cztery za długo.

- Jestem detektywem, Lucy. Z powołania i głębokiej wiary. - Kelnerka nie nadciągała. Pete czuł, że za chwilę wyschnie na wiór. Upały w Kalifornii to nic nadzwyczajnego. Ale w tym roku klimat zwariował. Już trzeci miesiąc słupek rtęci nie zjeżdżał poniżej stu stopni Fahrenheita. Miasto dusiło się od smogu. - Gdzie ta piegowata? Za chwilę padnę...

Potworny wrzask wstrząsnął lodziarnią. Ktoś histerycznie zachłystywał się własnym głosem. Brzmiał niczym rozhuśtany dzwon na trwogę. Pete zerwał się z krzesła. Bez namysłu runął w kierunku, skąd dochodziło dzikie wycie. Potknął się o krzesło, przewrócił stolik wraz z trzema pustymi pucharkami. Dopadł zaplecza. Piegowata, nie przestając wrzeszczeć, jakby ją obdzierano ze skóry, wpatrywała się dzikim wzrokiem w pojemnik z cynamonowymi lodami.

- Tam... tam... - wyjąkała wreszcie, bodąc palcem powietrze.

Właściciel lodziarni usiłował ją odciągnąć na bezpieczną odległość.

- Jodie, co się dzieje? - mamrotał. - Nie wrzeszcz, bo nam wystraszysz klientów!

- Tam... tam... - bełkotała piegowata Jodie, zakrywając oczy obiema dłońmi.

Pete bez zastanowienia pochylił się nad ladą chłodniczą. W jedenastu

pojemnikach oczy cieszyły czekoladowe, orzechowe, owocowe i pistacjowe góry lodów. W pierwszej chwili niczego nie zauważył. Ale gdy już dostrzegł - poczuł na plecach zimny pot. Pomimo nieludzkiego upału na zewnątrz lodziarni.

- To... to niemożliwe! - wyjąkał. - Ma pan... dużą łyżkę? - zwrócił się do przerażonego właściciela lokalu.

- Co tam wpadło? Karaluch? - wyjąkał zapytany, wciąż trzymając w ramionach łkającą Jodie. - Mam... szczyptę... zaraz. Jodie, uspokój się! Z powodu głupiej muchy...

- To nie jest mucha. Ani karaluch - Pete przełykał ślinę. - To jest... ludzkie ucho!

Kosmiczna cisza zaległa zaplecze lodziarni. Dźwięk upuszczonego przez Jodie pucharka zabrzmiał niczym wystrzał armatni.

Crenshaw nie wiedział, co robić. Ratować dziewczynę, mdlejącego właściciela czy zabezpieczać dowód... zbrodni! "Ludzkie ucho w cytrynowych lodach - przebiegło mu przez głowę - to fakt niezaprzeczalny, że dokonano gdzieś zabójstwa, porwania, okaleczenia. Ktoś to zrobił. I trzeba natychmiast działać!"

- Jak się pan nazywa?

Właściciel otarł spocone czoło nieskazitelnie czystym fartuchem.

- Ja? Dlaczego mnie pan pyta? - wyjąkał, puszczając wreszcie piegowatą.

- Bo ucho jest w pańskich lodach - powiedział surowo Pete.

- Marc... Marc Thomas. Ale... to nie jest moje ucho!

- Widzę - Crenshaw przyjrzał się uważnie wszystkim fragmentom głowy Thomasa. - Fakt. Nie jest pańskim uchem. Ale, u Boga ojca, do kogoś należy!

Jodie, siedząc na białych płytkach podłogi, znów załała się łzami.

- Ja nie chcę! Ja nie chcę!

- Całkiem słusznie - poparł ją Pete. - Ja też nie chcę ucha w pucharku z lodami... trzeba zawiadomić policję.

Marc Thomas jęknął, łapiąc się za głowę. Miał rzadkie, rudawe włosy i podwójny podbródek.

- Tylko nie policję! - wymamrotał, ponownie ocierając pot.

- Dlaczego? - Pete czuł, jak wstępuje w niego duch Sherlocka Holmesa. - Boi się pan policji?

- Głupie pytanie! - Lucy stała w drzwiach, podpierając się pod boki. - W tej dzielnicy wszyscy mają na bakier z policją. Nie wiedziałeś?

- Nie - Pete metalowym wiekiem zamknął pojemnik z uchem.

- Niech nikt tego nie rusza aż do przyjazdu ekipy technicznej. Dużo osób jadło

dzisiaj lody cytrynowe?

Jodie wreszcie otworzyła oczy.

- Wszyscy. To nasza specjalność. Ja już nigdy...

Crenshaw przykucnął. Poglądził dziewczynę po delikatnych, jedwabistych włosach. Były miękkie i pachniały miętą.

- Ja też - odparł poważnie. - Nigdy nie zamówię już lodów cytrynowych. Gdzie jest telefon?

Marc Thomas ciężko usiadł na zielonym krzeselku.

- W kantorze. Ja...

- Musimy zawiadomić policję. Ale najpierw... - wykręcił znany na pamięć numer. - Bob? Słuchaj uważnie, bo nie będę mógł powtórzyć...

- To poczekaj. Włączę nagrywanie. Wal! - Bob Andrews, dokumentalista i fachowiec od komputerów, był, jak zawsze, na posterunku w Kwaterze Głównej Trzech Detektywów.

- W lodziarni przy... jaki tu adres? - zwrócił się do Jodie.

- Gardner Street trzynastie - odpowiedziała całkiem spokojnie - lodziarnia nazywa się "Zielony Słoń".

- Słyszałem - potwierdził Bob.

- W pojemniku na lody cytrynowe znajduje się ludzkie ucho. Dzwonię do Mata Wilsona na posterunek w Rocky Beach.

- Możesz chwilę poczekać? - w głosie Boba brzmiał prawie zachwyt. - Przyjadę z aparatem.

- OK - odparł Pete. - Pospiesz się.

- Są świadkowie? - Bob, jak zawsze, zadawał właściwe pytania.

- Tak. Właściciel Marc Thomas, kelnerka Jodie...

- To moja córka! - jęknął zgnębiony Marc.

Pete uśmiechnął się.

- Jodie Thomas, tak? Oraz Lucy, moja znajoma...

- Która? - stęknął Bob. - Ta sprzed pół roku?

Lucy zmarszczyła brwi.

- No nie! Chodziłeś z inną Lucy?

Crenshaw podniósł wzrok w górę. Jakby sądził, że niebo nie pozwoli na krzywdzącą go opinię niestrudzonego uwodziciela.

- Lucy McCormick - powiedział do słuchawki. Ale Bob już się nie odezwał.

Godzinę później pod "Zielonego Słonia" zajeżdża konstabl George Lawson.

- No tak! - wymruczał na widok Dwóch Detektywów pijących puszkowaną coca-colę. - Już was tu diabli przynieśli?

- Nie wiem, czy diabli - westchnął Andrews. - Ale jesteśmy wszędzie tam, gdzie naruszono prawo. A ludzkie ucho w pojemniku z lodami jest naruszeniem... tego... ucha. No nie?

George zmarszczył nos. Pochylił się nad pojemnikiem i zzieleniał.

- Gdzie jest... toaleta? - zaszemrał.

Zdążył w ostatniej chwili.

- Słabą ma kondycję nasza policja! - zmartwił się Pete. - Zrobiłeś zdjęcia?

- Jasne. Podniosłem ucho trochę wyżej...

- Co?

- No... łyżką. Nic się nie stało. Chciałem tylko, żeby lepiej wyszło na zdjęciu. Użyłem superczułego filmu i flesza. Uwaga, wraca George. Napije się pan, konstablu?

Lawson tylko pokręcił głową. Założył żółtą, policyjną taśmę i powiadomił przez radio Mata Wilsona.

- Niech nikt się stąd nie rusza! - zażądał, siadając za kierownicą radiowozu. - Aż do przyjazdu ekipy technicznej. A was... - obrzucił chłopców surowym spojrzeniem. - A was... ech! - Machnął dłonią i odjechał.

Przy krawężniku natychmiast pojawił się stary ford.

- Jest Jupe! - ucieszył się Bob. - Zawiadomiłem go, gdy tylko usłyszałem nowinę.

Jupiter Jones nadchodził krokiem lekko ocieężałym. Właśnie skończył jeść obiad. A to, co dziś ugotowała ciotka Matylda, lubił najbardziej: barani udziec z brokułami.

- O co chodzi, panowie? - spytał siadając.

- O ucho, Jupe. Ludzkie ucho w lodach...

- Cynamonowych! - dorzuciła Lucy McCormick z satysfakcją.

Jupiter Jones zamyślił się głęboko.

- No tak - wyszeptał po chwili. - A w innych pojemnikach?

- Co: w innych? - spytał niepewnie Bob.

Jupiter zerknął na niego spod oka.

- Jeśli ucho jest w cynamonowych, to nos może być w malinowych. A głowa...

Jodie zbladła jak prześcieradło.

- Przestań! - wyszeptała. - Tak przypuszczasz?

- Niczego nie sugeruję - usprawiedliwił się Jupiter. - Ale gdzie jest reszta... od tego ucha?

Ekipa Meksykanki Sanchez z piskiem opon hamowała przed lodziarnią. Dwa samochody z walizkami należącymi do techników, przenośna kamera plus oświetleniowiec. Grubaska z czarnym wąsem nad górną wargą wkroczyła, nie rozglądając się na boki.

- Gdzie trup? - warknęła.

Chłopcy podnieśli się z krzeseł.

- To tylko kawałek tego... trupa - mruknął Pete, jakby wstydząc się, że znaleziony fragment nie odpowiada powadze chwili.

- Reszta może żyje...

Sanchez obrzuciła go złym spojrzeniem.

- Czy ja was znam?

- Tak - zgodził się Jupiter Jones. - Mieliliśmy już przyjemność uczestniczyć w wykrywaniu zbrodni...

- Niejednej! - pochwalił się Bob. - Proszę, oto nasza wizytówka.

Sanchez uniosła kartonik do oczu. Chyba była krótkowzroczna.

**TRZEJ DETEKTYWI**  
**Badamy wszystko**

**Pierwszy Detektyw . . . . . Jupiter Jones**  
**Drugi Detektyw . . . . . Pete Crenshaw**  
**Dokumentacja . . . . . Bob Andrews**

- Kto znalazł ciało? - jej głos był prawie tak samo gruby, jak ona sama.

- Ucho - podpowiedział Pete. - Ale może w innych pojemnikach...

Sanchez już nie słuchała. Pewnie była wściekła, że zwabiono ją tutaj z powodu tak, bądź co bądź, błahego detalu anatomicznego.

Wszelako ekipa sprawnie przeszukała lodziarnię. Niczego, oprócz ucha, nie znaleziono. Wywieziono je wraz z lodami do ponurego gmachu przy California Road u wylotu autostrady do Malibu. Tam mieściło się królestwo Sanchez: Instytut Kryminalistyki obsługujący także Federalnych. Jeśli mieli akurat jakiś problem. A

często mieli.

Lodziarnię zamknięto aż do odwołania. Wymagała sterylizacji.

- Skąd pan bierze towar? - spytał Bob załamane całą sprawą właściciela.

Marc Thomas otarł spoconą twarz.

- Od stałego dostawcy. Ma wytwórnię w naszej dzielnicy.

- Jak się nazywa? - Jupiter Jones wypijał już trzecią puszkę Sprite'a.

- Sam Sparrow. Od dwudziestu lat zaopatruje w lody wszystkie lodziarnie w okolicy. Nigdy nic podobnego mu się nie zdarzyło! Nigdy!

Jodie Thomas głaskała ojca po policzku. Była wciąż blada, ciemne groszki piegów odcinały się od cery, jakby rozsypane w artystycznym nieładzie.

Jupiter Jones nigdy przedtem u nikogo nie widział takiej skóry. Wpatrywał się w dziewczynę niczym wąż boa w śmiertelnie przestraszonego królika.

- Żadnych karaluchów? Myszy? - pytał, bo mu się to wszystko nie mieściło w głowie.

Lucy McCormick miała dość.

- Przestań się czepiać! - warknęła. - Zawsze trafi się jakaś mucha w zupie. Albo włos.

Jodie zatrzepotała rzęsami.

- To najczystsza wytwórnia od San Francisco po Los Angeles! Tam wszystko lśni. Urząd Sanitarny Miasta kontroluje ją co miesiąc. I nigdy się nie przyczepili. Do niczego.

- Ucho mogło zostać podrzucone już tutaj - powiedział Pete łagodnie.

- Ale jak? Jak? - zdenerwował się Marc Thomas.

- Nie jak, tylko kiedy - wymruczał Jupiter. - Czy pojemniki dowożone są z wytwórni?

Jodie pokręciła głową.

- Furgonetka-chłodnia przywozi lody w beczkach. Takich ogromnych. Nie jesteśmy jedyną lodziarnią. Przeładowują je do naszych pojemników.

- I wtedy można coś do nich podrzucić - stwierdził Bob. - Czy zawsze ci sami ludzie obsługują furgonetkę?

Jodie spojrzała spłoszona na ojca.

- No... przeważnie. Znam kilku. Ale dziś...

- Co? - Jupiter Jones zawisł wzrokiem na jej ustach.

- Dziś był z nimi taki jeden... nie znam go. Wysoki, w białym kitlu, jak wszyscy.

Pete położył jej dłoń na ramieniu.

- Przypomnij sobie, Jodie, jak wyglądał. To ważne.

Lucy McCormick wzruszyła ramionami.

- Dajcie dziewczynie spokój! Dość się nadenerwowała.

Jodie podniosła oczy. Pete umiał robić wrażenie. Jeśli tylko chciał.

- Miał bardzo czarne brwi. Takie zrośnięte... tutaj - pokazała palcem. - I długie włosy zakrywające uszy.

Bob coś szkicował w notesie.

- Takie? - spytał, podsuwając rysunek.

- Prawie - skinęła głową. - Ale bardziej... faliste.

Po dziesięciu minutach powstał portret pamięciowy.

- Dzięki, Jodie - Jupiter podniósł się ciężko. - Wracamy do Kwatery Głównej. - Bob, zostaw wizytówkę z adresem i telefonami. Na wypadek, gdybyś sobie jeszcze coś przypomniała.

Wracali starym fordem bez włączonej klimatyzacji.

- Można umrzeć w tym gracie! - stęknął Bob.

- Zgoda. Ale uruchomienie klimatyzacji to podwójna porcja paliwa. A ja mam tylko osiem dolarów w majątku! - usprawiedliwiał się Jupiter. - Najwyższy czas coś zarobić.

- Skręć w drugi zjazd! - zażądał Pete.

- Do Grovenor?

- Właśnie. Co nam szkodzi sprawdzić, czy facet o zrośniętych brwiach dalej pracuje w wytwórni.

Mówi się, że chceć to móc. Ale nie zawsze. Zakład otoczony solidnym murem miał dwa wejścia. Oba z elektronicznymi bramkami. Biały budynek położony w głębi wydawał się całkowicie pusty. Góry plastikowych beczek ułożonych w równe stosy zalegały wysypany jasnym grysem obszerny plac.

Bob wysiadł.

- Jest dzwonek. Próbujemy?

Jupiter skinął głową.

Zanim Andrews położył palec na przycisku, pojawił się dozorca z dwoma psami. Nie ujadły ani nie warczały. Ale ich potężne paszcze odsłaniały różowe dziąsła i rzędy wspaniałych zębisk.



- Jak krokodyl! - Bob cofnął się.

- Czego? - warknął uprzejmie dozorca.

- Chcieliśmy rozmawiać z panem Samem Sparrowem - Bob miał minę biznesmena z milionem na koncie.

- Szefa nie ma.

- A kiedy będzie?

Dozorca obrzucił chłopców uważnym spojrzeniem. Ich stary ford, brudny, z obtłuczonymi drzwiami nie zrobił na nim oszałamiającego wrażenia. Oni sami też nie.

- W interesach przyjmuje w kantorze. Od siódmej do jedenastej. - Odwrócił się, a psy wywiesiły różowe chusty. Tak wyglądały ich olbrzymie jęzory.

Bob wrócił jak niepyszny.

- Przyjedziemy jutro.

Jupiter Jones żuł gumę.

- I co? Zapytamy, czy obciął komuś ucho? I podrzucił do pojemnika z cynamonowymi? Już go o to molestuje Mat Wilson. Dam głowę, że wezwał szefa na komisariat.

Pete przytaknął.

- Pewnie tak. To co robimy?

- Nic.

- Jak to: nic? - oburzył się Bob. - A facet ze zrośniętymi brwiami? Może tu gdzieś jest?

- Może - mruknął Jupiter, włączając pierwszy bieg. - Tylko że te urocze psiaki zeżrą cię paroma kłapięciami zębów. Widziałeś, jak je szczyrzyły?

Bob wstrząsnął się na samo wspomnienie.

- Coś trzeba zrobić - upierał się, zacinając wargi.

- Oczywiście, że trzeba! - zgodził się Pete. - Ale raczej spróbujmy nacisnąć konstabla Lawsons. George czasem puszcza farbę. Poczekamy na wyniki ekipy Sanchez. To przecież mogło być ucho plastikowe. Mało takich robi się w wytwórniach filmowych?

## **ROZDZIAŁ 2**

### **KIM BYŁ FACET ZE ZROŚNIĘTYMI BRWIAMI?**

Bob łasił się niczym mały psiak. Postanowił złamać opornego dziś George'a Lawsona.

- I co? - w jego wzroku było morze łagodności. Cały ocean przymilności i szczerego podziwu.

- Nie zwracaj głowy, Andrews! - warknął George, wkładając kolejny ołówek do automatycznej strugarki. Zazgrzytało, posypały się wiórki. Bob czuł, jak mu cierpnie skóra. "Po co, u diabła, tyle ołówków? Komisariat w Rocky Beach to średniowiecze! Protokoły wciąż piszą na starej maszynie z wałkiem!"

- Chcę cię tylko prosić o przysługę - jęczał skruszony dokumentalista. - Co odkryła Sanchez? Przecież to nie tajemnica.

George Lawson poluzował krawat. Było mu gorąco, a wiedział, że temperatura jeszcze się podniesie, gdy sierżant zobaczy na komendzie któregoś z detektywów. Kroki Mata Wilsona już grzmiały w korytarzu.

Bob skapitulował.

- Dobra, spływam. Ale coś wiem.

Lawson zastrzygł uchem.

- Co?

- Informacja za informację! - zniknął w męskiej toalecie, zanim sierżant wkroczył do pokoju. "Niech to diabli! - pomyślał, wytykając głowę, by sprawdzić, czy droga wolna. - Niech to wszyscy diabli!"

Pete w tym samym czasie uwodził czarnooką asystentkę w Biurze Zatrudnienia Urzędu Miasta.

- Chcę tylko wiedzieć, jak się nazywają pracownicy Sama Sparrowa, właściciela zakładów Sparrow and Sons - jego głos brzmiał miękko niczym harfa eolska.

Dziewczyna zaciskała wargi. Jakoś nie działał na nią urok wysokiego, wysportowanego siedemnastolatka. Pete Crenshaw absolutnie nie potrafił tego zrozumieć. "A może uśmiech numer sześć?" - pomyślał i już wargi rozchyliły mu się, ukazując rząd równych, białych zębów. Na nic. Wypróbował numer siedem, dziewięć i dwanaście. Też bez skutku.

- To są dane osobowe - czarne oczy były chłodne i całkowicie odporne na umizgi.

- Wiem - denerwował się Crenshaw. To była chyba pierwsza tak poważna porażka w jego życiu. - Chodzi jednak o domniemaną zbrodnię.

- To się postaraj o nakaz od koronera.

Crenshaw wypuścił nagromadzone w płucach powietrze.

- Koroner Bullit nie ma tu jeszcze nic do roboty. Bo trup żyje.

Dziewczyna zamrugła rzęsami.

- Znam bajki o Zoombie. Twój czas się skończył.

Pete rzucił jej przez ramię spojrzenie pełne cierpienia. Ale dziewczyna włączyła komputer. Nawet nie zauważyła, że odszedł.

Jupiter Jones mocował się z zieloną kanapą. Sporo mebli z aukcji w San Jose znalazło się na obszernym placu składu złomu. Prowadzili go od wielu lat ciotka Matylda z wujem Tytusem. Jupiter często im pomagał, by zarobić parę dolarów. Teraz, choć Jupe ciężko pracował fizycznie, jego analityczny umysł cały czas kręcił się na najwyższych obrotach. "Tylko znalezienie Człowieka ze Zrośniętymi Brwiami może pchnąć dalej śledztwo" - myślał, stękając pod ciężarem. Kanapa bezpiecznie wylądowała na platformie ciężarówki. Razem z pomocnikiem usiedli na belce, by złapać oddech.

- Jak się dziś załatwia pracę na kilka dni? - spytał.

Buldogowaty John odwrócił zarośniętą twarz.

- A konkretnie, koleś? O jaką pracę ci chodzi?

Jupiter poklepał go po kolanie. John zjawił się w zastępstwie Fritza. Nie był geniuszem intelektu. Miał za to krzepę i ręce wielkości szufli do ładowania trocin.

- Na przykład ty. Przyszedłeś zamiast Fritza, który u nas pracuje od dawna. Jakoś to musiałeś załatwić, żeby było legalnie.

John rozpromienił się.

- Pewnie. Wszyscy bezrobotni, przeważnie imigranci, są zarejestrowani. Fritz także. W Biurze Zatrudnienia.

- Urzędu Miasta?

John pokręcił głową.

- Nie. Imigrantów rejestruje Prokuratura Okręgowa. No, koniec wypoczynku. Muszę zarobić na chleb. A tu jeszcze tyle tego!

W Kwaterze Głównej spotkali się po południu. Upał wcale nie zelżał. Tężał w

powietrzu niczym gęsta zupa w garnku. Od oceanu nie dolatywała żadna łagodząca bryza. Komunikaty brzmiały groźnie: elektrownie pracują na najwyższym poziomie wydajności. W każdej chwili może zabraknąć prądu. Urządzenia chłodnicze nastawiono na maksimum. Wszyscy włączyli klimatyzację. Nagle może wysiać cała elektronika w Krzemowej Dolinie. Groza.

- Nic nie mam - wzruszył ramionami Bob.

- Ja też nie - pozałił się Pete. Nie mógł przyjść do siebie po spektakularnej porażce z czarnooką. "W życiu się do tego nie przyznam! W życiu!" - myślał gorączkowo.

- A ja znalazłem coś w rodzaju śladu - westchnął Jupiter, otwierając lodówkę. Była tak pusta, jak pustynia Mojave w samo południe. - Ale nikły.

- Tak? - Bob włączył komputer. Przez ekran przeleciały iskry i zgasły. - Napięcie siadło! - załamał dłonie.

- Koniec świata! - mruknął Pete. Ale, tak naprawdę, nie wiadomo, co miał na myśli.

Jupiter oblizwał suche usta.

- Jeżeli Człowiek ze Zrośniętymi Brwiami jest imigrantem, to można go znaleźć w Prokuraturze Okręgowej.

Crenshaw aż otworzył usta.

- Vanessa! - wyjąkał po chwili.

- Vanessa! - wrzasnęli radośnie pozostali.

Vanessa była ich szkolną koleżanką. Kiedyś kochała się beznadziejnie w Crenshawie. Potem jej przeszło, ale na wieki zostali kumplami, już nie raz pomagała detektywom w dotarciu do różnych tajnych akt. Teraz też pomoże. Musi!

Biuro Prokuratora Okręgowego mieściło się w okazałym gmachu na rogu Melrose i Avenue Victoria. Szklany hol i windy pełzające po zewnętrznej ścianie dopełniały wrażenia nowoczesności. Klatka, w której urzędowała Vanessa, miała takie wymiary, jakby zbudowana była dla kanarka. Góra dwóch.

- Cześć! Czego potrzebujecie? - dziewczyna nie miała złudzeń. Detektywi przychodzili tylko wtedy, gdy trzeba było zajrzeć do najtajniejszych komputerowych dysków.

- Cześć! Co słyhać? - Pete wyszczerzył zęby cztery razy myte "odplamiaczem", jak nazywał wybielający płyn reklamowany w telewizji.

Vanessa westchnęła.

- Do rzeczy, chłopaki. Mam mało czasu. O co chodzi?

Bob wyjął gruby notes.

- O faceta. Możliwe, że podrzucił ludzkie ucho do lodów cynamonowych...

Vanessie nawet nie drgnęła powieka. Znała swoich kumpli.

- Aha - zamruczała. - Cynamonowych? To ma znaczenie?

- Chyba nie - zgodził się Jupiter. - Ale ucho to ucho. Sanchez bada je w Instytucie Kryminalistyki.

- Szybciej! - Vanessa obejrzała się za siebie. W podobnych klatkach siedziało kilkadziesiąt osób.

- Chodzi o Zakład Przetwórstwa należący do Sama Sparrowa, w południowej dzielnicy. Czy zatrudnia ludzi na zastępstwo?

- Imigrantów?

- Całkiem możliwe. Masz ich zdjęcia w komputerze? Bob narysował portret pamięciowy...

Vanessie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Błyskawicznie zlokalizowała zakład i jego załogę.

- Pakistańczyk, Jordańczyk... nie, to nie oni. Jest! Spójrzcie. Podobny do tego z portretu.

Trzej Detektywi pochylili głowy.

- Ma zrośnięte brwi. Kim jest? Irańczyk? Aram Alawi! Bob, pisz! - Jupiter pociągał nosem niczym gończy pies, który nagle chwycił trop. - Mieszka w Oazie Cloony. Gdzie to jest?

- Nie wiem. - Vanessa rozłożyła ręce. - Sami znajdźcie, o ile nie wysiądą wszystkie komputery w mieście. No, spływajcie! Szef już węszy, jazda!

Spłynęli jedną z wind wyglądającą bardziej na obudowę krzesła elektrycznego.

- Zdążymy zjechać, zanim stanie w połowie ściany? Zakład o pięć dolarów! - Bob czasem wpadał w klaustrofobię. Nie przepadał za zamkniętymi na głucho pudełkami.

- A kto ma pięć dolarów? - wzruszył ramionami Pete. - Lepiej gnaj do Kwatery Głównej sprawdzić tę Oazę Cloony. Może to coś w rodzaju obozu dla uchodźców? Nigdy takiej nazwy nie słyszałem.

Nikt nie słyszał. Nawet komputer najnowszej generacji, zainstalowany w przyczepie kempingowej tuż przy płocie składu złomu. Bob klikał myszą, burzył i tak

skołtunione włosy, prychnął, mruczając pod nosem nie całkiem cenzuralne słowa. Gdy wszedł Jupiter, Bob tylko zgrzytnął:

- Nie ma. To musi być jakaś nazwa no... zwyczajowa...

- Chcesz powiedzieć, że Oaza Cloony nie istnieje na mapie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej?

Bob chrząknął.

- Na to wygląda. Pewnie ktoś kiedyś wymyślił taką nazwę. Ale oficjalnie jej nie ma.

- To co zrobimy?

- Wydedukamy... to jest, chciałem powiedzieć... wydedukujemy. Oaza to oaza. Piasek, palmy, skorpiony...

- Daktyle, Arabowie... - dorzucił Jupe. - Bez sensu. A co może znaczyć: Cloony?

- Nic. Nie ma takiego słowa w całym Internecie. Ani w najnowszym, trzydziestotomowym słowniku. Sprawdziłem.

Pete gramolił się przez próg, ciężko dysząc. Rzucił w kąt raketkę do badmintona.

- Bez sensu uprawiać sport w taki upał. Znaleźliście?

- Nie. Jestem ciekaw, co powiedzą w wiadomościach. Pewnie już dziennikarze zwietrzyli sensację. Bob, włącz telewizor.

Tym razem ekran telewizyjny rozjarzył się błękitną poświatą. Jakiś gruby brodacz wznosił w górę obie dłonie.

- Bądźcie czujni! Zaufajcie Braciom w Wierze! Świat mknie ku totalnej katastrofie. Lada moment nastanie koniec świata, a wraz z nim potężne ciemności! Ziemia zamarźnie, a góry staną się dolinami...

- Doliny zamienią się w pustynie, a te zasypią wreszcie piaskiem wielebnego... - warknął Bob. Nie cierpiał tych telewizyjnych oszołomów nawołujących do wstąpienia w przeróżne "Nieba", "Piekła" i inne odmiany sekt.

- Znasz go? - Pete spojrział na zegarek. - Ma jeszcze dwadzieścia sekund.

Do wielebnego brodacza jakby dotarł nagle nieuchronny bieg czasu. Łypnął spod krzaczastych brwi, wołając strasznym głosem:

- Szatan, nasz pan, nadchodzi! Ludu, ratuj się! Bo tylko ON zapanuje nad światem! Nadstawcie uszu: nadchodzi!

Ekran zamigotał i zgasł.

- Znów siadło napięcie - westchnął Jupiter Jones. - Jeśli tak dalej będzie, wielebny zyska parę milionów wyznawców.

- Szatan? - burknął Bob, wściekły na problemy energetyczne najbogatszego stanu, za jaki zwykle się uważa Kalifornię.

- A dlaczego by nie? - wzruszył ramionami Pete. - Ludzie zdezorientowani nie wiedzą, o co chodzi. Ich martwią wyłącznie rozmrażające się lodówki, stojące windy w wieżowcach i cały ten bałagan. Mogą uwierzyć, że pochodzi od szatana. Czemu nie?

- Włącz radio. Któryś program lokalny. To małe, bateryjne.

Bob wykonał polecenie.

- Mówi Sharon Carter z programu The Californian Sunbeams. Jak nas poinformował posterunek policji w Rocky Beach, Instytut Kryminalistyki stwierdził, że ucho znalezione w lodach pistacjowych... przepraszam państwa, w lodach cynamonowych, należało do człowieka... to znaczy do mężczyzny w wieku około dziewięćdziesiątki. Grupa krwi "O Rh plus". Podobno był... zaraz, przepraszam, mam właśnie najnowszy komunikat: ciało mężczyzny bez ucha odkryto w prosektorium szpitala Glenwood... możliwe, że...

- Gdzie jest szpital Glenwood? - ryknął Jupiter Jones, zrywając się z miejsca.

Bob nie mógł uruchomić komputera. Był tak samo martwy jak nieboszczyk bez ucha.

- Poczekajcie, znajdę w spisie na planie miasta. Zaraz... szpitale... onkologiczny, imienia doktora Kronenberga, szpital miejski, świętego Łazarza... to nie to... jest! Szpital... nie, nie wierzę własnym oczom!

- Bob, przestań! O co chodzi? - Pete miał ochotę dać mu w łeb.

- Posłuchajcie tylko: szpital psychiatryczno-geriatryczny doktora Roberta Cloony'ego.

- Bingo! - wrzasnął Jupiter, zrywając się na równe nogi. - Ta cała oaza to może być... szpital? Ładna mi oaza. Gdzie się mieści?

Bob jechał palcem wzdłuż mapy.

- Stop! Bo dojedziesz do San Diego.

Andrews wzruszył ramionami.

- Nic na to nie poradzę. To koniec świata. W górach. Jedzie się do Kanionu Oaks. Potem boczną drogą... tam kiedyś stała rezydencja Pameli Crox. Piosenkarki.

- Ta, co się spaliła? W czasie pożaru lasu? Ze trzy lata temu? - Pete kręcił głową z niedowierzaniem. - Stała na skraju przepaści. Widok był niezwykły, ale położenie

cholernie niebezpieczne. Przez szklane drzwi salonu wychodziło się nad urwisko. Ze sto metrów w dół same skały. Wiem, co mówię, bo widziałem tę rezydencję na własne oczy.

- Kiedy? - zdziwił się Bob.

- Pamela grała namiętnie w siatkówkę, jeszcze w Terence School. Potem opiekowała się drużyną z Rocky Beach-Północ. Dawała sporo grosza na sprzęt dla chłopaków...

- To jest drużyna, którą trenujesz? - Bob spojrział z uwagą na przyjaciela.

- Ta sama. Pamela kiedyś zaprosiła dzieciaki do siebie. Były kanapki z ogórkami i sok malinowy. Fajnie. Chłopaki nigdy nie widzieli takiej rezydencji. Sam byłem pod wrażeniem. Widok aż na ocean.

- I co się z nią stało?

- Z Pamelą?

Jupe zmieniał skarpetki.

- Nie. Z rezydencją. Po pożarze.

Pete potrząsnął włosami. Domagały się fryzjera. Od dawna.

- Nie wiem. Dużo domów się wtedy spaliło w kanionie. Strażacy nie mogli rozwinąć węży. Nie było wody. To okolica sucha jak pieprz. Cała porośnięta ostrokrzewem.

- Doktor Cloony musiał zbudować szpital na miejscu pogorzeliska. Jaki w tym sens? Takie odludzie?

- To jest właściwie klinika psychiatryczna - Bob przerzucał kartki przewodnika po mieście. - Może właśnie dlatego na odludziu. Oaza? Pewnie tak ją nazywają pacjenci. Właściwa nazwa to Glenwood.

- Nasz Irańczyk... jak mu tam? aha, Aram Alawi byłby pacjentem z Oazy Cloony'ego?

Pete wietrzył świeży ślad.

- Nie musi wcale być pacjentem. Może pracować...

- W klinice? Nie ma o tym ani słowa w komputerze Vanessy. Jeśli jest imigrantem i bezrobotnym zarejestrowanym w Biurze Prokuratora Okręgowego, powinien być też ślad jego pracy w szpitalu. Mam rację?

- Masz - Jupiter ssał wargę. Zawsze to robił, gdy intensywnie myślał. - Ale z imigrantami jest tak jak z uchem w lodach cynamonowych. Są lub ich nie ma. Żyją swoim życiem. Nie zawsze legalnym. Pracują także "na czarno". Trzeba to sprawdzić.



- Jak? Mam udawać, że widzę kolorowe motyle w ciemnym garażu? - zaniepokoił się Bob. - Kto nas wpuści do kliniki psychiatrycznej?

- Lucy McCormick! - klasnął w dłonie Pete.

- Lucy? Ta, która znalazła z tobą ucho w lodziarni?

- Ta sama. Jest pielęgniarką u świętego Łazarza. Też szpital.

- Wiem - zastanowił się Bob. - Ojcu tam wycinano ślepą kiszkę. Dwa lata temu. Jak Lucy dostanie się do Glenwood?

Crenshaw gimnastykował barki. Musiał być w ruchu. Inaczej jego wysportowane ciało wiotczało ze smutku i urazy do całego świata.

- Jeszcze nie wiem. Ale pielęgniarka może wpaść na jakiś pomysł. Lucy to dziewczyna z fantazją. W końcu to ona ratowała od zapaść i przerażoną Jodie i mdlejącego Marca Thomasa. Mieszka w tej samej zakazanej dzielnicy, w której jest lodziarnia "Zielony Słoń". Poza tym ma właściwy stosunek do policji i...

- W porządku - zgodził się Jupiter. - Jutro ty jedziesz do Lucy, a my z Andrewsem obwąchamy okolicę kanionu. Ma któryś trochę forsy? Na benzynę?

- Siedem pięćdziesiąt. Mało.

Zawsze mieli za mało. Na rachunki telefoniczne, płatny portal internetowy, elektryczność i zawartość lodówki.

- Może ciotka pożyczycy? - westchnął Jupiter Jones.

Pożyczał od niej niechętnie, bo w domu się nie przelewało. Ale ostatnio sporo się napracował w składzie złomu. Zasłużył na zaliczkę.

Upał nie zelżał. Nic nie wiało od oceanu. Nad domami miasta wisiał smog. Południowa część Rocky Beach, ta położona w dole, wyglądała niczym czarna dziura.

- Widzicie? Oni wcale nie mają światła. Szatan zawinił? - Bob nerwowo gryzł paznokcie.

- Tak. Uwierz wielebnemu. I od razu złoż rezygnację z funkcji dokumentalisty. Żaden oszołom nie będzie wodził za nos Trzech Detektywów!

Bob zwiesił głowę. Za nic na świecie nie porzuciłby Kwatery Głównej w starej przyczepie kempingowej na tyłach składu złomu ciotki Matyldy i wuja Tytusa. Nawet gdyby mu przyszło skrzyżować szpadę z samym Lucyferem!

## ROZDZIAŁ 3

### CO SIĘ ZDARZYŁO W SZPITALU GLENWOOD?

Podróż starym fordem do Kanionu Oaks w stustopniowym upale, bez możliwości włączenia klimatyzacji, okazała się co najmniej średniowieczną torturą.

- Daleko jeszcze? - pytał Jupiter po raz szósty w ciągu pół godziny. Bob spoconym palcem jeździł po mapie.

- Jupe, daj spokój. Sam wiesz.

Na szosie był mały ruch. Kto żyw, już rano wyjechał na plażę. Tylko potężne ciężarówki z zaopatrzeniem mknęły swoim pasem, szumiąc oponami po mięknącym asfalcie.

- Dowiedziałeś się czegoś więcej o doktorze Cloony? - Jupiter musiał rozmawiać, by nie usnąć za kierownicą.

- Niewiele. Jest psychiatrą. Ale zajmuje się bogatymi czubkami. Całą tą zwariowaną elitą z Hollywood. Wiesz, gwiazdy, które nie wytrzymały napięcia związanego z nagłą a niespodziewaną sławą, reżyserzy, których filmy nie przyniosły nawet dolara dochodu, producenci uwikłani w finansowe afery i tak dalej.

- Zwykłych ludzi nie leczy?

Bob roześmiał się gorzko.

- Pobyt w szpitalu Glenwood kosztuje dziennie trzy tysiące dolarów.

Jupe o mało nie wypadł z pasa ruchu.

- Ile?

- Tyle, ile słyszałeś. Trzy kawałki. Masz za to apartament z widokiem na morze, telewizję kablową, posiłki serwowane z karty dań. Żadnego Internetu, telefonu komórkowego czy innej łączności ze światem zewnętrznym. No i piękne siostrzyczki w błękitnych mundurkach. Leki i relaks. Żadnych stresujących wizyt.

- To klasztor, nie klinika. Kiedy zjeżdżamy z autostrady?

- Za chwilę. Drugi zjazd.

Droga wiodła wśród niskich sosen kalifornijskich, suchych polaci poprzepłatanych krzakami jałowca i posypanych skałkami niczym tani tort kolorowymi paciorkami, o których wszyscy wiedzą, że nie nadają się do konsumpcji. Słońce rzucało na drogę tańczące cienie. Wpadali w nie jak w głębokie studnie bez wody.

Pierwsza tablica pojawiła się w połowie stoku.

- Jest. Szpital Glenwood. Parking po drugiej stronie skały. To znaczy gdzie?

Bob milczał umęczony upałem. Nie chciało mu się otwierać ust.

- Sam zobaczysz - wystękał wreszcie.

W milczeniu dojechali do szczytu. Przez otwarte okna wpłynęło nieco bardziej rześkie powietrze. Chłonęli je obaj niczym ryby wyrzucone na piasek.

Parking był prawie pusty, jeśli nie liczyć dwóch starych terenówek i jednego odlotowego jaguara w kolorze wiśni burgundzkiej.

- Pewnie własność doktora Cloony'ego - stwierdził Jupiter. Bob w milczeniu wynurzał się z piekarnika. Był czerwony, spocony i marzył tylko o dużej szklance wody mineralnej z lodem. Najlepiej z całym Spitzbergenem.

W przestronnym holu było chłodno i miło. Za kontuarem ze szklanej płyty tkwiła lalka Barbie w błękitnym fartuszk. Jej nieskazitelny makijaż w porównaniu ze spoconymi przybyszami mógł zaszokować każdego.

- O co pytać? - jęknął Jupiter, czując, że zamiast zwojów mózgowych pod czaszką ma włączoną do prądu grzałkę nastawioną na max.

Bob opadł na krzeselko. Też nie wiedział. Dziewczyna wcale nie kwapiła się, by im pomóc. Czytała kolorowe pismo ze zdjęciami półnagich gwiazd ze świata show-biznesu.

- Tak? - spytała w końcu. - Panowie do kogo?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, stało się coś dziwnego. Z windy wypadła dziwna postać w przezroczystym peniuarze i w czepku kąpielowym. Miała doklejone sztuczne rzęsy, długie plastikowe paznokcie u rąk i nóg i lekki obłęd w oczach. Za nią gnał pielęgniarz z ręcznikiem i radiotelefonem.

- Miss Bourke! Miss Bourke! Proszę zaczekać! Nie wolno pani kąpać się w basenie!

Detektywi nie wiedzieli, czy śmiać się, czy płakać. Kobieta, bo w końcu okazało się, że była to kobieta w wieku matuzalemowym, pędziła ogrodowymi alejkami.

- Boże! - jęknęła lalka Barbie, zasłaniając oczy. - Pomóżcie mu! Trzeba złapać Sally, zanim wskoczy do wody!

Bob zerwał się, a za nim Jupiter. Wypadli z holu bocznym wyjściem. Miss Bourke znalazła się nagle w pułapce. Z tyłu doganiał ją pielęgniarz, wykrzykując coś w radiotelefon, z przodu zaś stanęli jej na drodze dwaj detektywi. Nie wiedząc, co robić, Sally usiadła na zwirowanej ścieżce, mamrocząc coś pod nosem.

- Dzięki! - pielęgniarz dopadł skarbu jednym skokiem. - Teraz się nie ruszy.

- Co jej jest? - przeraził się Bob. Twarz Sally Bourke pokrywała gruba warstwa szminki. Tłustej i rozmazanej.

- Gwiazda niemego kina. Rezyduje u nas od trzech lat. Przedtem leczyła się w szpitalu w Beverly Hills. Jej ciało nie zniesie zetknięcia z zimną wodą. Sally ma dziewięćdziesiąt siedem lat.

Nadbiegło jeszcze dwóch pielęgniarzy. Jeden z nich, wypisz wymaluj, pamięciowy portret narysowany przez Boba zgodnie z opisem Jodie Thomas. Chłopcy spojrzeli po sobie.

- On? - szepnął Jupiter.

- Tak - potwierdził Bob.

Pielęgniarski oddał podopieczną kolegom. Otarł spocone czoło.

- Ale gorąco.

- Właśnie - Jupiter czuł, jak wstępuje w niego energia. - Jest tu może jakaś kafejka? Bar?

Pielęgniarski podciągnął nieskazitelnie białe skarpety.

- Jasne. Należy wam się za pomoc. Jestem Bruno. Chodźcie tam, pod ten namiot. To barek dla personelu, ale dziś nikt wam nie przeszkodzi. Guru pojechał do Los Angeles. Nie zjawi się przed kolacją.

- Guru?

- Tak nazywamy doktora Cloony'ego. Leczy tych oszołomów przy pomocy indyjskich praktyk.

Zimna coca-cola przywróciła detektywów do życia. W namiocie działała klimatyzacja. Metalowe stoliki ze szklanymi blatami, rozrzucone malowniczo pomiędzy donicami z zielenią, tworzyły zgrabne koło. Dwie pielęgniarki pochylały się nad pucharkami lodów.

Jupiter odwrócił wzrok.

- Przyjechaliście tu w odwiedziny? - spytał Bruno, chlepcząc łąpczywie wodę mineralną wprost z butelki.

- Właściwie nie - zająknął się Bob. - Nasza przyjaciółka...

Jupe złapał trop.

- Właśnie... Lucy McCormick jest pielęgniarką u świętego Łazarza. Słyszała, że wasza klinika przyjmuje do pracy, i...

Bruno rozpiął górny guzik kitla. Chyba nie miał nic pod spodem, bo ukazał się fragment mocno owłosionej klatki piersiowej.

- Byliście w administracji?

- Jeszcze nie. Zatrzymała nas ta zwariowana Sally Bourke.

- Nie jest najgorsza! Mamy tu stuletnią gwiazdę music-hallu z włosami do ziemi. Nigdy ich nie strzygła. Pielęgniarki nie mogą dać sobie z nią rady.

- Myśli pan, że Lucy mogłaby tu dostać pracę?

Radiotelefon przy pasku Bruna zapiszczał. A potem rozległ się ostry głos:

- Bruno! Zgłoś się do sali masażystów. Natychmiast!

- Cześć, chłopaki. Nic nie płacicie. A do administracji idźcie dopiero za godzinę.

- Dlaczego?

Bruno odchodził, zapinając guziki.

- Bo wtedy tam będzie Dorothea. Drobną brunetką z wielkim biustem. Jest miła w odróżnieniu od starej Lopez! Ciao!

Pomachali mu dłońmi. Tylko na tyle było ich stać.

- Myślisz, że powinniśmy wpakować tu Lucy bez jej zgody? - Bob dopijał colę, szczęśliwy, że upał został za ścianą.

- Poweźmy nie z powodu pracy dla Lucy, tylko żeby się zorientować, co tu robi Aram Alawi. Jest w końcu pielęgniarzem czy dostawcą lodów z firmy Sam Sparrow and Sons!

- A co z nieboszczykiem?

- Jakim? - Jupiter słabo kontaktował.

- Tym bez ucha. Co go znaleziono w tutejszym prosektorium.

Jupiter Jones zamyślił się.

- Nie będziemy buszować po prosektorium. I tak nikt nas tam, na szczęście, nie wpuści.

- Mam nadzieję! - ucieszył się Bob.

- Nieboszczyk to fakt medialny. Trzeba wyciągnąć informację od Sharon Carter. To ona podała wiadomość o nieboszczyku. My spróbujemy namierzyć Irańczyka.

- Powiemy, że Lucy jest imigrantką z... Albanii?

Jupiter zamachał dłonią.

- Albania? Nie, to podejrzany zakątek. Lepsza będzie aborygenka z Australii. Przecież i tak jej nigdy nie zobaczą.

Niedoszła aborygenka z Australii, nieświadoma pomysłów obu detektywów, wpatrywała się z pełnym nabożeństwem w Crenshawa.

- Masz do mnie jakąś sprawę?

- Tak - Pete usiłował wykrzesać z siebie choć odrobinę dawnego czaru. -  
Chłopaki pojechały do szpitala Glenwood.

- Po co?

- Dziennikarka z radia podała, że znaleziono tam nieboszczyka bez ucha.

Miss Piggy uniosła w górę swój niewiarygodnie zadarty nos. Dziurki rzeczywiście wyglądały jak elektryczny kontakt. Aż miało się ochotę podłączyć do nich żelazko. Skojarzenie z postacią świnki ze znanych programów telewizyjnych było uderzające.

- Wystarczyło sprawdzić u dziennikarki! - wzruszyła ramionami. - Po co wyprawa do szpitala? Nie bardzo rozumiem.

- Wszystko w swoim czasie - westchnął Crenshaw, popijając wodę mineralną. Lodziarnia Thomasów była wciąż zamknięta. Siedzieli w ogródku konkurencji. Ale żadne z nich nie zamówiło lodów.

- Jupiter wie, co robi - Lucy słała zalotne uśmiechy. Chyba jednak bez cienia szansy. - Dlaczego mieszacie się w tę zagadkę? To sprawa policji.

Pete skrzywił się.

- Policja? W Rocky Beach nie ma glin z prawdziwego zdarzenia. Nie potrafią znaleźć pięciu palców we własnej rękawicze, a co dopiero ucha nieboszczyka. To przekracza możliwości ich szarych komórek!

Lucy uśmiechnęła się półgębkiem.

- Nie jesteście najlepszego zdania o Macie Wilsonie?

- Żłapie piwo, a potem wygląda, jakby przejechała go ciężarówka. I to mocno załadowana.

- A George Lawson?

- Potrzebuje instrukcji, żeby włożyć czapkę! Lucy, czy możemy liczyć na twoją pomoc, gdyby...

- Gdyby co? - pochyliła się, świdrując wzrokiem Crenshawa.

- Gdyby trzeba było sprawdzić coś w Glenwood?

Miss Piggy zmrużyła oczy.

- Chodzi wam o przeciek ze szpitala?

Crenshaw pogłaskał jej dłoń.

- O tak wielki przeciek, żeby trzeba było budować arkę. Jak stary Noe!

Pożar wybuchł o trzeciej nad ranem. Paliły się stare składy w dzielnicy

Grovenor na południowym krańcu Rocky Beach. W miejscu pełnym drewnianych bud, starych płotów i zubożałych lokatorów wiekowych domostw nadających się do natychmiastowej rozbiórki. Jak mawiali strażacy, często interweniujący w tej dzielnicy, to wrzód na zdrowym ciele nowoczesnego miasta. Sześć sekcji straży pożarnej z trudem ugasiło ogień o ósmej rano. Do dziesiątej strażacy pilnowali, by któreś pogorzelnisko nie rozgorzało na nowo.

- Tam, gdzie lodziarnia Thomasów! - odezwał się Bob znad komputera.

- I gdzie mieszka Lucy McCormick - zdenerwował się Pete.

Cała trójka siedziała w Kwaterze Głównej, omawiając sprawy z poprzedniego dnia.

Jupiter Jones kręcił głową.

- Cały ten pożar spowodowały, na dobrą sprawę, wyłączenia prądu. Na pewno ktoś postawił świeczkę w niewłaściwym miejscu i zasnął.

- W starych składach zbożowych? - Bob nie dowierzał.

- Tam też mieszkają ludzie. Bezdomni i nielegalni imigranci z Meksyku! - trwał przy swoim Jupiter.

Pete rozciągał mięśnie ramion.

- Powinniśmy przekonać się na miejscu.

- Zgoda - Bob włączył telewizor. - Ale naprzód posłuchamy wiadomości. Może podadzą nowe szczegóły.

Sharon Carter pojawiła się z mikrofonem w rękę na tle dogasających zgliszcz. Z klipsami wielkości patelni do smażenia sześciu jajek naraz wyglądała komicznie.

- A ta skąd się wzięła w telewizji?

- Może jej program radiowy ma jakieś konszachty z tym kanałem telewizyjnym.

Cicho, słuchajmy...

- Jak państwo słyszą... to jest, widzą, za moimi plecami dogasa pogorzelnisko. Spłonęły dawne składy zbożowe. Straż pomału się stąd wynosi. Za to przyjechała policja...

- Rety! Mat Wilson! - jęknął Bob.

- Cicho! - skarcił go Jupe.

Sharon Carter zachowywała się zdecydowanie nienaturalnie. Wyraźnie zżerała ją trema. To wyglądało na debiut przed kamerą.

- Zaraz spytam sierżanta Wilsona... panie sierżancie, co się takiego wydarzyło, że na pogorzelnisku zjawiała się policja?

Mat miał minę, jakby chciał udusić wścibską reporterkę.

- Tajemnica śledztwa.

- Ale... obywatele... to jest mieszkańcy, Rocky Beach mają prawo do informacji.

Wie pan, sierzancie, konstytucyjne prawo...

Mat nie powiedział wprost, gdzie ma w tej chwili konstytucję. Ani co myśli o dociekliwych mieszkańcach miasta. Pochylił się do mikrofonu, szepcząc:

- Spadaj, mała!

Sharon skamieniała. Z miną skrzywdzonej pięciolatki patrzyła na oddalającego się przedstawiciela władzy.

- Sami państwo widzą... - wyjąkała z trudem. Uczynny kamerzysta wyłączył sprzęt. Pojawił się obraz kontrolny ze studia.

- No, to posadę ma z głowy! - roześmiał się Bob.

- Mat Wilson?

Pete wzruszył ramionami.

- Mata nikt nie ruszy. Gra w golfa z prokuratorem okręgowym. Panienska wyleci z telewizji. Jak dwa a dwa jest cztery! Jedziemy?

Stary ford ruszył ze zgrzytem. W połowie trasy wyprzedził ich jadący z niedozwoloną prędkością nowiutki jaguar w kolorze wiśni burgundzkiej.

- Zupełnie taki sam jak ten, co stał na parkingu szpitala Glenwood! Pamiętam numery! - zawołał Bob. - Pielęgniarz mówił, że należy do doktora Cloony'ego.

- Wcale tego nie mówił - sprostował Jupiter. - Fakt, samochód tam stał. Pielęgniarz powiedział tylko, że "guru" gdzieś wyjechał. Ten jaguar wcale nie musi być jego własnością.

Jakże się zdziwili, gdy zobaczyli wiśniowe auto zaparkowane na wprost dogasających zgliszcz I potężnego brodacza w białej, luźnej szacie niezdarnie opuszczającego eleganckie wnętrze wybite beżową skórą.

- Wielebny? - wyszeptał Bob. - Po co on tutaj?

Chłopcy wyszli z forda w momencie, gdy nadjechał radiowóz z George'em Lawsonem w środku. Szeregowi policjanci zaczęli rozciągać żółtą taśmę wokół pogorzeliśka.

- Coś się stało - mruknął Jupiter. - Pogadam z Lawsonem. A wy śledźcie wielebnego. Tylko nie dajcie się wypędzić Wilsonowi. On tu jest.

Tymczasem obok jaguara zaparkował wóz miejscowej telewizji kablowej.



Ludzie z aparaturą szykowali się do transmisji. Wielebny dał sobie przypudrować świecący od potu nos. Potem uniósł ramiona, a szata sprawiła, że wyglądały niczym skrzydła anioła.

- Ludu Boży! - wrzasnął strasznym głosem, płosząc biegające wokół dzikie koty.  
- Przemawiam do was w imię prawdy i sprawiedliwości! Oto ogień strawił źródło zła i rozpusty! I tak będzie aż do dnia, gdy moje słowa sprawią, iż pokój i ukojenie spadną na tę biedną ziemię! Aż rozkwitnie ona rajskim ogrodem, a księżyc oświeci płaską i równą dolinę! Szatan zmuszony zostanie do ukrycia się w mroku, a my...

Pete przestał słuchać.

- To wariat! O czym on mówi? Wcale nie o strasznej krzywdzie, która się tu przydarzyła. Ktoś mógł zginąć w ogniu...

- I zginął - szepnął Bob, widząc, jak do karetki wnoszą zawinięty w czarny plastik długi tułub. - Trup. Na razie jeden.

Wielebny wciąż perorował, strasząc ludność zagładą wieczystą, piekłem i zemstą Lucyfera.

Jupiter Jones od niechcienia trącił w łokieć George'a wpatzonego w pogorzeliśko.

- Co się właściwie stało?

Lawson zaczerpnął tchu.

- Podpalenie. I trzy trupy. A wy co? Znów węszyć?

Jupiter Jones uśmiechnął się ciepło.

- Nie przesadzaj, Lawson! Nie jestem takim oszołomem jak ten wielebny, który grozi światu zagładą. Wiesz może, jak on się nazywa?

George spojrział na brodacza ze szczerą nienawiścią.

- Barry Dickins. Mówią, że jest przywódcą sekty o nazwie Zgromadzenie Ludu Bożego.

Jupiter podrapał się za uchem.

- Sekty? To ludzie z sekty mają swój program w telewizji?

- Wolność słowa. Święta zasada konstytucji amerykańskiej. A teraz spadaj, bo mi Mat utnie łeb!

- A może tylko ucho... - zaszemrał Jupiter, wpatrując się okiem sępa w kolejne czarne worki wynoszone z ruin.

- Już wiesz o uchu? - wściekł się George.

Jupiter spojrział na policjanta. W jego wzroku było morze cierpliwości.

- Wiem, George. A pan mi powie, konstablu, kto tu zginął. - Pierwszy Detektyw uśmiechnął się. Wiedział, że Lawson nie znosi, gdy się do niego zwracać "per ty".

Mat Wilson nadchodził, wachlując się kapeluszem. Jego koszula z niebieskiej zrobiła się plamista. Pot ściekał mu z czoła, gromadząc się nad rozpiętym kołnierzykiem.

- Nieboszczyków do kostnicy! - wrzasnął. - A szmaty i całą resztę do laboratorium! Do Lopez! - Na widok detektywa zeszywniał. - A wy tu czego?

- Miłego dnia panie sierżancie! - westchnął Jupiter Jones. - I dla całej pańskiej rodziny. Kto zginął w pożarze?

- Nie twój zakichany interes! - ryknął rozzłoszczony Mat. - Najchętniej wsadziłbym was za kratki!

- To miło z pana strony! - rozpromienił się Jupiter. - A kiedy?

Radiowóz ruszył z kopyta, wzbijając fontanny kurzu.

- Dowiedziałeś się czegoś? - spytał Bob, przełaząc pod żółtą taśmą.

- Nie. Ale się dowiem.

## ROZDZIAŁ 4

### CO MA WSPÓLNEGO UCHO Z POŻAREM?

Wielebny Barry Dickins nadal grzmiał we wzrastającym upale, gdy Trzej Detektywi zbierali się do odjazdu.

- A co tu robi Thomas? - zdziwił się Bob, rzucając spojrzenie przez ramię.

Jupiter Jones wychylił głowę przez szybę.

- Fakt. Stoi w tłumie, zaciskając pięści. Chyba niezbyt kocha naszego kaznodzieję. Bob, wysiadaj i spytaj Marka, o co chodzi.

Temperatura powietrza wzrastała. Nie bez wpływu były też rozżarzone resztki żelbetowych konstrukcji.

Pete też wysiadł. Nałożył czarne okulary, chowając się w cieniu za murem z okopconej cegły. Ze zdziwieniem usłyszał czyjeś szepty.

- Ilee jeeszcze? - przeciągał samogłoski niski męski głos.

- Dwa albo trzy - odpowiedziała jakaś kobieta. - Na razie dobrze idzie. Ten stary bałwan znakomicie nadaje się do swojej roli!

Mężczyzna roześmiał się chrapliwie. Crenshaw bał się poruszyć. Doświadczenie wywiadowcy mówiło mu, że należy działać ostrożnie. Nabral podejrzeń, że ludzie szepczący w zgliszczach mogą mieć jakiś tajemniczy związek z pożarem. Wolał nie narażać się na niebezpieczeństwo.

- Kieedy naastępne?

- Dowiesz się od szefa. On decyduje. - Kobieta odchodziła. Jej kroki zazgrzytały o pokruszony beton. - Czekaj na wiadomość.

Pete ostrożnie wyjrzał zza węgła. Mignęła mu tylko sylwetka wysokiego mężczyzny w przybrudzonych płóciennych spodniach. Jego bardzo czarne włosy wyglądały jakby wysmarowane oliwą.

“Irańczyk? Pielęgniarka ze szpitala Glenwood? Aram Alawi? - przez mózg przebiegały mu myśli niczym rój motyli. - I ucho, i pożar są jego dziełem?”

Wrócił do auta w chwili, gdy gramolił się tam szalenie z siebie zadowolony Bob.

- Marc Thomas powiedział mi, że przyjazd wielebnego do tej dzielnicy nie jest niczym szczególnym. Od dwóch lat Barry Dickins powtarza, że Grovenor to siedlisko wszelkiego zła. Powinno zostać zrównane z ziemią, a na jego miejscu ma powstać Oaza Światłości.

- Jeszcze jedna oaza? - zdziwił się Jupiter, włączając bieg. - O co tu chodzi?

Pete streścił pozostałym podsłuchaną rozmowę.

- Sądzę, że budy podpalono specjalnie. Jeszcze nie wiemy, kto zginął, ale z rozmowy tajemniczej dwójki wyraźnie wynika, że podłożono ogień na zlecenie jakiegoś nikomu nie znanego szefa. A kobieta nazwała Barry'ego bałwanem.

Jupiter wyprowadził wóz na drogę szybkiego ruchu.

- Sądziś, że wielebny Dickins ma jakieś powiązania z podpalaczami? A także ze szpitalem Glenwood i uchem w lodach cynamonowych?

Bob stęknął.

- No, nie przesadzajcie.

Jupiter przyspieszył.

- To się rzeczywiście wydaje idiotyczne. Ale sprawdzimy wszystko. Bob, zaraz siądziesz do komputera i znajdziesz dane dotyczące Zgromadzenia Ludu Bożego. Od początku do końca: kto, gdzie, kiedy i ilu mają wyznawców.

- Czy są sektą miejscową, czy też pozastanową - dorzucił Pete.

- Tak. Ważne, na jakim obszarze działają. Ja zajmę się Irańczykiem. Nie podoba mi się, że pojawia się wszędzie tam, gdzie dzieje się coś złego.

- Jak zamierzasz to zrobić?

Pete uśmiechnął się pod nosem.

- Zastosuję stary manewr. Podam się za pracownika... prokuratury okręgowej. Vanessa pożycz mi na dwa dni plakietkę służbową.

Bob roześmiał się głośno.

- Co by było, gdybyś parę lat temu nie pomógł jej zdać końcowego egzaminu z matmy? Ma wobec ciebie spory dług wdzięczności.

- I uwielbienie bez granic! - warknął Jupiter, szczerze zazdrosny o niebywałe powodzenie przyjaciela u płci pięknej. Sam był nieco zbyt ciężko zbudowanym nastolatkiem, z potężnymi skłonnościami do nadwagi.

- A ty, Jupe? - Bob wystawił twarz na powiew wiatru wpadającego przez otwarte okno.

- Ja? Muszę zarobić na benzynę do tego grata. I przemyśleć całą sprawę. Zamierzam też złożyć komuś wizytę.

- Komu? - spytali prawie równocześnie.

Nie odpowiedział. Chciał zachować w tajemnicy pewne, zupełnie niezwykle zdarzenie.

- Spotkamy się wieczorem - mruknął, parkując przy furtce domu Andrewsów. -

Wszystkiego się wtedy dowiecie.

Jupiter Jones ciężko pracował na składowisku złomu. Pomocnicy wuja Tytusa nie nadążali.

- Kanapa na złom czy do renowacji?

Jupiter ocenił krótkim rzutem oka.

- Na podpałkę. Materiał się rozłazi, a w drewnie są dziury po kornikach. Ale krzesła zostawcie.

Obiad jadł pospiesznie. Kura z ryżem w potrawce, posypana chińskimi ziołami "Sad - Ko", należała do jego ulubionych dań.

Niestety, zadanie, które go czekało, nie należało do łatwych.

- Ciociu - podniósł wzrok znad talerza - było wspaniałe. Ale z kolacją nie czekaj. Mamy nową sprawę detektywistyczną.

Wuj Tytus podniósł oczy do sufitu.

- Znów będziesz bujał w obłokach zamiast zetrzeć z mebli starą farbę?

- Wszystko w swoim czasie - Jupe uśmiechnął się półgębkiem. - A sprawa jest pasjonująca: co ma ludzkie ucho w lodach cynamonowych do pożaru w biednej dzielnicy na południu Rocky Beach. Jak myślicie?

Nie zdążyli odpowiedzieć. Siedzieli w osłupieniu z wzrokiem wbitym w zamykające się za detektywem drzwi.

- Rozumiesz coś, Tytusie?

- Nic a nic, Matyldo.

Pierwszy Detektyw wsiadł do forda, zostawiwszy uprzednio wiadomość w dziobie Kaczora Donalda stojącego u wejścia do Kwatery Głównej. Kaczor przyjechał kiedyś z Disneylandu razem z innym złomem. I został.

- Gdyby coś mi się przydarzyło, będą wiedzieli, co robić - zamruczał Jupiter.

Kierował się na drogę numer sześć, wiodącą z miasta wprost ku wschodniemu wzgórz. Tam, w jednym z apartamentów na jedenastym piętrze z widokiem na zatokę, mieszkała dziennikarka radiowa Sharon Carter. Zostawiwszy wóz na małym parkingu, zdecydowanym ruchem nacisnął guzik domofonu.

- Kto? - usłyszał znany głos.

- Jupiter Jones. Renowacja mebli. Pani zamówiła komplet chippendali z pokryciem brokatowym. Przywiozłem próbki.

Drzwi otworzyły się z cichym brzękiem. Winda wyłożona zieloną tkaniną wywiozła go na górę. Sharon stała z kieliszkiem martini w ręku. Jej peniuar, co nieco rozchełstany, i mętny wzrok wskazywały wyraźnie, że nie był to pierwszy kieliszek. Nawet nie drugi. Ani trzeci.

- Te chipp... chipp... endale - machnęła dłonią.

Parę kropel alkoholu kapnęło na żółty jedwab. Strzepnęła ze złością.

- Chyba przyjechałem nie w porę - sumitował się Jupiter. - Może...

- Właż. Jesteś okropnie młody - stwierdziła ze zdziwieniem. - Sam zajmujesz się... heep reno... tego... wacją? - zapadła w zielono-żółty fotel.

Jupiter rozejrzył się wokoło. Dom był nowy, niewiele apartamentów wynajęto. Ten też był nieomal pusty. Rozumiał, że komplet chippendali, trochę podrabianych, trochę odnowionych byłby bardzo na miejscu.

- Skład prowadzą wujostwo. Ja pomagam. Czy to... nie pani relacjonowała dziś dla telewizji szczegóły pożaru w dzielnicy Grovenor?

Skrzywiła wargi.

- I schrzaniłam sprawę. Ten Mat... - machnęła dłonią. Martini niebezpiecznie zachybotało w kieliszku.

Jupiter oparł się o nagą ścianę.

- Mat Wilson jest największym gburem w naszym mieście - powiedział z mocą. - Należałoby go surowo ukarać. Media muszą o wszystkim informować społeczeństwo. Miała pani prawo domagać się...

Sharon Carter jakby się obudziła z głębokiej drzemki. Spojrzała na Juve'a i zerwała się z fotela.

- Zrobię mocnej kawy i pojedę tam!

- Gdzie? - zdziwił się szczerze.

- Później ci powiem. Jak wytrzeźwieję. Zaczekaj tutaj. OK?

Jupiter odlepił się od ściany.

- Dobrze. A co z chippendalami?

Machnęła dłonią.

Wróciła po pół godzinie z okiem jasnym jak słońce zachodzące właśnie nad zatoką. I z głową trzeźwą.

No, prawie.

- Jedziemy!

- Dokąd? Mam strasznie starego forda. I kłopoty z drugim biegiem.

- Nie szkodzi. Nie powinnam prowadzić. A twój grat lepiej nam się nada. Uprzedzam cię jednak: zadanie może być karkołomne. Nie stchórzysz?

- Ja? - wrzasnął Jupiter. - Ja jestem... - nie dokończył. Sharon wypadła z apartamentu, ciągnąc go za ramię.

- Nieważne, kim jesteś! Ważne, kim jest ON!

Pete właśnie zdejmował dres, gdy do Kwatery Głównej ktoś zapukał.

- Zaraz, chwileczkę! - wytarł ręcznikiem spocony tors. - Już.

W drzwiach stała piegowata Jodie Thomas.

- Przepraszam - spłoszyła się. - Zostawiłeś nam wizytówkę. A tato uznał, że możecie pomóc.

- W czym? Siadaj - podsunął dziewczynie jedyny stółek z czterema nogami. - Nie rozsypie się jak kanapa. Wyłażą sprężyny... - jego wzrok spoczął z przyjemnością na zgrabnej figurce Jodie.

Rozglądała się niepewnie. Uspokoił ją widok komputera, rząd encyklopedii, atlasów i albumów Boba.

- Macie niezłą bibliotekę.

- Przydaje się. Lodziarnia dalej zamknięta? - przerwał Pete. Spieszył się, bo plakietkę i legitymację z Urzędu Prokuratora Okręgowego wypożyczył od Vanessy na bardzo krótko.

- Tak. Sąsiednia kawiarnia również. Służby sanitarne zrobiły prawdziwy najazd. Od czasu tego... ucha... dmuchają na zimne. Potem było jeszcze zatrucie tortem czekoladowym, który jest specjalnością zakładu Donaldsów.

- Co?

- Badania wykazały, że ktoś dosypał trucizny. Coś się dzieje w naszej dzielnicy.

- Trucizna w torcie?

- No właśnie.

- Ciasto jest wypiekane na miejscu. Od wielu lat mają starą europejską recepturę. Nie wiadomo, kto zrobił Marcie Donalds takie świństwo.

- Co za trucizna?

- Dokładnie nie wiadomo. Podobno to lek, w dużym stężeniu działający jak trucizna. Nie można go kupić w aptece. Dostępny w szpitalach i klinikach. Dla chorych psychicznie. To jakiś obłąd.

Pete Crenshaw myślał błyskawicznie. "Szpitale? Kliniki? Trop może znów

prorowadzić do Glenwood. Trzeba sprawdzić. Natychmiast!”

- Jak się tu dostałaś? - rzucił, wkładając płócienne obuwie.

Dziewczyna nie zrozumiała.

- Jak to? Przyjechałam samochodem.

Crenshaw przekopywał skrzynię w poszukiwaniu właściwych ciuchów.

- Włóżysz to i to! - rzucił zdumionej dziewczynie parę czarnych spodni i jasną marynarkę.

Jodie otworzyła usta. Odezwała się po chwili.

- O co chodzi?

- Jedziemy do szpitala Glenwood. Do tak zwanej Oazy Cloony. Daleko. W Kanonie Oaks. Zawieziesz mnie tam? Naszego forda zabrał Jupiter. A mam dokumenty, od razu ci powiem, że “lewe”, na bardzo krótko.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Wyprawa śledcza? Udajemy kogoś innego? Fajnie! Od zamknięcia lodziarni ciągle płaczę. Te ciuchy... kim będę?

- Moją asystentką z Urzędu Prokuratora Okręgowego. Ja od tej chwili nazywam się Finn. Albert Finn. I przeprowadzam inspekcję w związku z nielegalnym zatrudnieniem imigrantów. W szczególności chodzi o Irańczyka. Nazywa się...

- Wiem! - krzyknęła. - Aram Alawi. Ten sam, który przywiózł nam feralnego dnia pojemnik z lodami. Co on robi w szpitalu?

- Jest sanitariuszem. Mam nadzieję, że cię nie rozpozna?

- Włożę biały kapelusz. Płócienny. Rondo jest tak duże, że opada na oczy. Mam go w wozie.

- Dobra. Tylko przypnę plakietkę do klapy. Wsunąłem swoje zdjęcie pod oprawkę. Mam nadzieję, że to wystarczy...

Wystarczyło. W klinice Glenwood panowało totalne zamieszanie. Nikt nie zwrócił uwagi na ich wejście. Zalęknione pielęgniarki skupiały się po kątach, szepcząc coś do siebie tajemniczo. W administracji, czyli przestronnym pomieszczeniu z białymi meblami i szklanym biurkiem wielkości basenu kąpielowego, nie zastali żywej duszy.

- Coś się stało - mruknął Pete. Omiótł wzrokiem wnętrze: kwiaty, zielen, sterylność czystość. - A to co? - przystanął na wprost ściany pokrytej tapetą w delikatny, srebrzysty deseń. - Portret guru?



- Pan do kogo? - zabrzmiał chrapliwy głos. - Tu nie wolno.

Crenshaw odwrócił się. W drzwiach stała starsza kobieta w nieskazitelnie białym kitlu. Jej włosy obcięte po męsku odsłaniały ogromne uszy. Co gorsze, uszy te miały kształt zwężających się na końcach ślimaczych skorupki. Do tego osoba nosiła klipsy zwisające aż do ramion.

Crenshaw zaniemówił. Z opresji wyciągnęła go Jodie.

- Jesteśmy z Urzędu Prokuratora Okręgowego... mamy stosowne dokumenty...

Kobieta w jednej chwili przedzierzgnęła się w pełną słodyczy podwładną profesora Roba Cloony'ego.

- W czym mogę... ja zaraz...

Crenshaw oddychał głęboko. Powoli odzyskiwał równowagę. Czegoś tak brzydkiego dawno nie widział.

- Polecono nam... - zaczął, przełykając ślinę - sprawdzić zatrudnionych tu imigrantów. Sprawa dotyczy...

Jakiś hałas wzmógł się w sąsiednim pomieszczeniu. Dwóch pielęgniarzy wtargnęło do wnętrza, wykrzykując coś niezrozumiale.

- Proszę wyjść! - ryknęła uszata, aż zakołysała się lampa na biurku. - Bruno, wyprowadź go! Nie teraz!

- Alee to niee jaa! - wrzeszczał wysoki brunet z włosami błyszczącymi od pomady. - W prosektorium too mnie kaazali...

Uszata wyglądała, jakby za chwilę miała paść na zawał.

Na szczęście pielęgniarze, dostrzegłszy obcych, sami się wycofali.

Jodie z trudem zachowała spokój.

- To on - wyszeptała. - Irańczyk.

Pete postukał palcem w plakietkę przypiętą do klapy. Uznał, że wystarczy tych formalności. Atak i tak jest najlepszą formą obrony - głosiło któreś tam prawo Trzech Detektywów.

- Co się tu dzieje? - warknął, zbliżając się do biurka. - Będę musiał powiadomić władze...

Uszata zbladła.

- Jestem Lopez. Carina Lopez. Szefowa administracji. Proszę, może państwo usiądą. Zaraz podadzą coś zimnego do picia. Wyjaśnię... - nacisnęła przycisk interkomu.

- Mówi Lopez. Proszę powiadomić doktora Cloony, że przyjechała inspekcja.

Może lody? - zwróciła się do dziewczyny.

- Żadnych lodów! - wrzasnęła Jodie. - Wystarczy woda mineralna z lodem.

- I bez dodatków! - powiedział Crenshaw, pochylając się nad taflą biurka. -

Trucizna została wykryta w ciągu dziesięciu minut.

Lopez przełknęła ślinę.

- Co też państwo... to jest klinika. Ratujemy ludziom życie.

- A to całe zamieszanie? - Jodie Thomas bezbłędnie weszła w swą nową rolę. -

My i tak wiemy... Uszata zacięła usta.

- Śmierć zdarza się wszędzie. W każdym szpitalu. I w każdej klinice. Miss Mary Pickhard miała dziewięćdziesiąt sześć lat.

- Umarła?

Lopez skinęła głową.

- Była gwiazdą music-hallu w początkach dwudziestego wieku. Uwielbiana przez tłumy na Broadwayu. U nas leczyła astmę.

- Wiem! - ożywiła się Jodie. - Słynna z najdłuższych włosów na świecie. Podobno nigdy ich nie obcinała.

Carina Lopez znów zbladła.

- No właśnie. Te włosy...

- Co z nimi? - zainteresował się Pete. Jego wyobraźnia szalała. Zobaczył oczyma duszy siwe włosy miss Pickhard zapieczone w strudlu podawanym w kolejnej kawiarence południowej dzielnicy Rocky Beach. Otarł pot z czoła.

Weszła wysoka brunetka z tacą napojów. Ku radości Jodie butelki były szczelnie zamknięte.

- Doktora nie ma - wyjąkała. - Nie przyjdzie...

- Dziękuję, Ruth. Możesz odejść. No więc, jak mówiłam, śmierć pacjenta to dla kliniki wielki stres.

- Już druga w przeciągu tygodnia - Pete pamiętał o nieboszczyku bez ucha z prosektorium w szpitalu Glenwood. - Mężczyzna...

Uszata Lopez wyglądała na zmieszaną.

- No... odszedł też Ferdynand Bushe. Bardzo stary pan. Tańczył w balecie rosyjskim w latach dwudziestych. Dzięki jego zapisowi możemy powiększyć skrzydło nad skałą - mówiła szybko, wpatrując się w kandelabr.

- Zapisowi? - zdziwił się Pete.

- Tak. Wdzięczni pacjenci zapisują nam swoje majątki. Na rzecz kliniki,

naturalnie. -W interkombie zamigotała lampka. - Tak?

- Policja do pani. Niejaki sierżant Mat Wilson...

Crenshaw o mały włos nie zerwał się z krzesła. Wiedział, że muszą wraz z Jodie zniknąć z pokoju, zanim wkroczy tu ich przeciwnik. I konkurent jednocześnie.

Wstał, wolno poprawiając wystające mankiety. W starym garniturze własnego ojca nie czuł się najlepiej.

- To my na razie dziękujemy - powiedział, obserwując narastającą panikę w oczach szefowej administracji. - Sądzę, że policja wyjaśni resztę. Sierżant Wilson z posterunku w Rocky Beach jest osobistym przyjacielem prokuratora okręgowego. Być może jeszcze się spotkamy...

Wycofali się w ostatnim momencie. Kiedy ponury Mat przekraczał ciężkim krokiem wahadłowe drzwi, oni byli już w słonecznym patio.

- Uff! - westchnął Pete. - Spadamy.

- Ale niczego nie dowiedzieliśmy się o Irańczyku. Oprócz tego, że tu pracuje.

Pete potrząsnął włosami.

- Ale czegoś się tu boją. I wciąż im umierają starcy.

- Zostawiając majątki! - dorzuciła Jodie, włączając bieg. Jej małe zielone autko ruszyło z kopyta. - Bardzo podejrzanе, co?

- Właśnie.

## ROZDZIAŁ 5

### GDZIE SIĘ PODZIAŁ JUPITER JONES?

Jupiter Jones zjechał na drogę numer dziewięć. Prowadziła z kierunku Santa Ana.

- Dokąd teraz?

Sharon Carter wyglądała na mocno zamroczoną. Ale gdy było trzeba, reagowała stosunkowo szybko.

- Co? Aha. Zjedź do Metropolu.

- Gdzie? - Jupiter nie znał tej nazwy.

- Nigdy nie byłeś w Oazie? - Sharon otworzyła puderniczkę. W lusterku dostrzegła bruzdy wzdłuż nosa. Nie poprawiło to jej humoru.

Jupiter Jones zaczynał się denerwować. Pijana dziennikarka nie stanowiła najlepszego źródła informacji, które było mu potrzebne jak elektryczność gubernatorowi Kalifornii.

- Albo pani powie, o co chodzi, albo zawracam!

Sharon pociągnęła puszką po nosie. Puder pozostawił smugę o dobrych parę tonów ciemniejszą od karnacji.

- To magiczne miejsce. Niegdyś, ze dwadzieścia lat temu, była tu ujeżdżalnia koni. Potem, na jakiś czas, wynajęli ją cyrkowcy z chińskiej trupy. Od kilku lat zajmuje ją wielebny Barry Dickins. Nazwał to miejsce Oazą Światła. Lub Oazą Metropol.

- Jeszcze jedna oaza! - zamruczał Jupiter, skręcając w wąską drogę prowadzącą ku bramie z drewnianych bali z napisem: "Witajcie w Oazie Światła". Rozciągała się za nią łąka, a dalej widać było szereg niskich pawilonów. W głębi jaśniały białe ściany piętrowej rezydencji. - Czego się pani chce dowiedzieć od wielebnego?

- Ja? - roześmiała się sztucznie. - To on się czegoś dowie ode mnie! Nie pozwolę się więcej robić w konia! Stary oszust!

Jupiter zaparkował samochód tak sprytnie, by móc w każdej chwili stąd zwać. "Nigdy nic nie wiadomo" - pomyślał, chowając kluczyki. Stare dobre porzekadło Philipa Marlowe'a brzmiało: "Bądź czujny i nie myśl, że ci się uda. Bo może być odwrotnie!"

Sharon szukała czegoś w dużej torbie. Nie mogąc znaleźć, wywaliła całą jej zawartość na siedzenie.

- Gdzie ten cholerny sprzęt?

- Tego pani szuka? - Jupiter podał mały magnetofon. - Niezła elektronika. James Bond używał podobnego. Zamontowanego w zegarku.

Sharon zacisnęła usta.

- A teraz idziemy do wielebnego! Nie chciałabym być dziś w jego skórze!

Gdy dochodzili do pierwszego z zabudowań, drogę zastąpił im buldogowaty ochroniarz z włosami związanymi w kitkę. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął, przyjrząwszy się Sharon.

- Wielebny ma sjęstę - zaczął, zaciskając pięści. - Powiem...

- Nic nie powiesz! - warknęła. - Jak trzeba będzie, to obudzę całą tę cholerną oazę. Jasne?

Kitka zakolysała się w prawo i w lewo. Ale góra mięśni ani drgnęła. Facet wyraźnie unikał starcia z dziennikarką.

- Pani wejdzie. Ale ten... - paluch niczym dębowa gałąź bódł brzuch Jupitera. - Ten nie wejdzie!

- Jest ze mną! - odburknęła, chwytając detektywa za ramię. - To moje ubezpieczenie na życie!

Osilek został w tyle. Podniósł do ucha telefon komórkowy. Coś cicho zagadał.

- On się pani boi - stwierdził Jupiter. - Dlaczego?

- On wie dlaczego! Stary mnie wrobił! A miało być tak pięknie i bogato!

- W co panią wrobił? - Jupiter ledwie nadażał za Sharon; parła do przodu niczym walec drogowy.

Minęli puste, ciemne pomieszczenia. W powietrzu jeszcze wisiał zapach końskiego potu i skórzanych siodeł. Dziennikarka pchnęła dębowe wahadłowe drzwi, zupełnie jak w saloonie na Dzikim Zachodzie. Powracając do poprzedniego położenia, wahnęły zaskoczonego Jupitera tak silnie, że zachwiał się i cofnął. Zanim się pozbierał, klnąc na cały świat, jakaś wilgotna szmata zniecka spadła mu na głowę.

- Co to? Kto to? - szepnął, czując utratę tchu. I świadomości.

Obudził się w całkowitych ciemnościach. Naprzód obmacał głowę, potem nogi. Bolało go tylko kolano. W ustach czuł suchość i dziwny smak. Chwilę trwało, zanim przybliżył do oczu świecąca tarczę zegarka. "Dziewiąta wieczór? - zdziwił się. - Przyjechaliśmy do wielebnego o siódmej. Tyle czasu byłem nieprzytomny?"

Ostrożnie podniósł się z worka, na którym leżał. Tkanina pachniała obrokiem. Latarkę, małą bo małą, zawsze przezornie nosił w kieszeni. Cud, że właśnie wczoraj

zmienił baterie. Snop światła wydobył z mroku wysoki sufit, ściany pomalowane na kolor ochry i drzwi uchylone do środka.

- Idziemy! - powiedział do siebie. Po cichutku, jak każe obyczaj skautów.

Wyjście prowadziło korytarzem do ogromnej, jasnej sali. Jej sufit tworzyła szklana kopuła. Krzesła stały w półkolistych rzędach, a przy podwyższeniu znajdowało się kilka ekranów.

- A to co? - wyjąkał. - Kościół? Świątynia? Może to jest właśnie Świątynia Światła?

Nagle sufit zamigotał. Rozległ się szelest milionów skrzydeł, jakby spod kopuły spłynęły tysiące gołębi. Chwilę później pojawił się obraz. Wielka twarz brodatego anioła z ogromnymi skrzydłami płynęła wprost ku przerażonemu chłopcu. Groza wstrząsnęła nim, gdyż twarz nie miała ani oczu, ani ust. Straszna gęba bez reszty ciała. Pomału anioł zmieniał się w szatana. I był coraz bliżej.

- Nie! - wrzasnął Jupiter. - Nie dam się zastraszyć! - Lecz na wszelki wypadek, zacisnął szczelnie powieki. Nic się nie stało, tylko lekki ruch powietrza spowodował, że Jupe cały się skulił.

- Otwórzcie oczy! - rozległ się władczy głos.

Jupiter przecząco pokręcił głową. Słyszał szuranie wielu stóp i cichy szelest tkanin.

- Nie otworzę! - zapiszczał. - Nigdy!

Nagle poczuł silny strumień powietrza. Był chłodny i pachniał kwiatem pomarańczy.

- Chwała ci, szatanie! - rozległ się szmer głosów. - Panie nasz!

Jupiter delikatnie uniósł powieki. Sala była pełna ludzi odzianych w biało-złote szaty. Kobiety i mężczyźni mieli na głowach kaptury z otworami na oczy. Wyglądali jak członkowie Ku-Klux-Klanu z południowych stanów. Ale nie to go zdziwiło. Wielka twarz szatana zmieniła się. Dalej wisiała w powietrzu, była obrzydliwa, lecz tym razem miała oczy i usta. Co gorsza, z rozszerzonych źrenic płynęły nad całym tłumem czerwone światła. A wargi otwierały się i zamykały, ukazując... pustkę.

- Zwariowali czy co? - wyjąkał.

Nagle cały ten tłum padł na kolana. Jupiter Jones dostrzegł, jak spoza jednego z ekranów wysuwa się znana mu z telewizji postać wielebnego Barry'ego Dickinsa. Wszedł na podium unosząc dłonie.

- Ludu Boży! - wrzasnął. Jego głos wzmacniały specjalne mikrofony. - Świat jest

pełen złoczyńców! Co zrobiono z naszą Zieloną Planetą? Tylko Szatan może to zmienić. Tylko Wielki Mag Podziemia wychynie, by zmienić ludzi głupich, chorych i zniewolonych. Wierzcie w Niego! Jest jedynym światłem tajemniczych mocy! Tylko on zamieni ciemność w światło. Wołajcie za mną: Panie! Zamień ciemności w światło! Niech rozjaśni ludziom domy! Ukaż nam się, o Panie Jasności!

- Ukaż się nam, o Panie Jasności! - zaszemrał tłum.

Jupiter oddychał głęboko. Z literatury wiedział, jak wielki wpływ mają niektórzy kaznodzieje na całkowicie podporządkowany sobie tłum wiernych. Czytał o tym na stronie internetowej. Ale czytać coś, a brać udział w takim zgromadzeniu, to dwie różne sprawy. Jeszcze raz odetchnął. Twarz szatana już go nie przerażała. Zauważył, że czerwone płomienie to laserowe światła. Otwierające się i zamykające usta są sztuczką techniczną, jakie stosuje się masowo we wszystkich hollywoodzkich wytwórniach filmowych.

Gdzie się podziała Sharon Carter? - pomyślał, przytomniejąc. - I po co tu przyjechała? Zaraz, zaraz... ochroniarz ją wpuścił bez problemu. To znaczy, że ją dobrze znał. Skąd? Jest jedną z wyznawczyń Zgromadzenia Ludu Bożego? Nie, nie sądzę. A zatem, co ich łączy? Dlaczego była taka wkurzona na wielebnego?

Barry Dickins wpadł w trans. Wykrzykiwał zdania całkowicie pozbawione sensu. Wyglądał jak człowiek, którego nawiedził zły duch. Wyznawcy słuchali go w skupieniu. Gdy wreszcie wrzasnął:

- Ludu Boży! Pójdź ze mną! Spalmy wszystko! Niech Szatan da wam potrzebną moc i ogień piekielny! - ruszyli. Rozsunęła się boczna ściana i kapturowcy, niczym wyćwiczeni żołnierze piechoty morskiej, równym krokiem, przy dźwiękach werbli płynących gdzieś spod kopuły, zniknęli w jakiejś nieznannej cyberprzestrzeni. Zniknął też wielebny i potworna gęba szatana. Zostało tylko niebiańskie światło i osilek z końskim kucykiem, który nie wiadomo, skąd się zjawiał.

- Zjeżdżaj! - warknął. - I zabieraj tę alkoholiczkę. Żebyś jej tu więcej nie widział!

- Ona mnie przywiozła. - Jupiter obliznął suche wargi.

- Wielebny nie chce jej znać. Zawiodła go. Tyle jej powiedz. Zawiodła! A kto raz zawiedzie wielebnego... czeka go śmierć!

- To przerażające - wyjąkał Bob, gdy następnego dnia spotkali się w Kwaterze Głównej. - I co było dalej? Odwiozłeś Sharon do domu?

Jupiter Jones rozłożył ręce.

- A jakże! Znalazłem ją, kompletnie pijaną, na przednim siedzeniu mojego forda. Nie było mowy żeby mogła wstać o własnych siłach. Musiałem zawołać do pomocy portiera z jej budynku.

I jeszcze coś. Na podłodze samochodu leżało to - w ręku trzymał notesik szczelnie wypełniony notatkami. Najwyraźniej zrobionymi przez samą dziennikarkę.

Bob rzucił fachowym okiem.

- Wpłaty. Tu są nazwiska ludzi, którzy dokonywali przelewów gotówkowych na rzecz Zgromadzenia Ludu Bożego. Niektóre sumy przekraczają pięćset dolarów. Wielebny nieźle się obłowił. Jeśli prawdą jest, że ma czterdzieści tysięcy wyznawców, to... jest człowiekiem majątnym. Skąd notes wziął się na podłodze samochodu?

Jupiter Jones zmarszczył brwi.

- Torebka jej upadła. A raczej, szukając czegoś, wyrzuciła całą zawartość na fotel. Notes musiał się zsunąć.

Pete rozsiadł się na kanapie.

- Dowód rzeczowy, że Barry Dickins nie jest wcale oszołomem, tylko... nieźlej klasy biznesmenem! Teraz zdam wam sprawę z wizyty w Oazie Cloony. I wiecie co? - kończył. - Nic z tego nie rozumiem - No, nic a nic.

Jupiter ssał wargę.

- Trzeba się zastanowić, co łączy wszystkie wydarzenia: ucho w lodach cynamonowych, truciznę w torcie, śmierć dwojga starych aktorów w klinice doktora Roba Cloony'ego, trzy spalone ciała w pogorzeliisku i wizytę znanej dziennikarki w Oazie Światła wielebnego Barry'ego Dickinsa?

- Łącznikiem jest Irańczyk. Aram Alawi - Bob przestał na moment klikać myszą.

- Tylko w trzech sprawach - powiedział Pete, wciągając buty. - W sprawie ucha, trucizny w torcie i śmierci staruszków.

- Drugim łącznikiem jest wielebny. Ma powiązania z dziennikarką i pojawia się zawsze tam, gdzie coś się dzieje - dorzucił Bob. - To znaczy był na pogorzeliisku.

Jupiter skinął głową.

- Nie wiem dlaczego, ale sądzę, że wielebny jest zamieszany w jakieś machlojki. Ten jego goryl... i po co mnie uziemili na dwie godziny? Żeby nie podsłuchał przypadkiem rozmowy Sharon z Dickinsem? Za to pozwolono mi obejrzeć wielki spektakl pod tytułem: "Szatan ponad wszystko". Ten show miał na celu przygotowanie wiernych do jakiejś zadymy... no, nie wiem. Bawi mnie w tym jedno: pomieszenie



Boga z Lucyferem. To głupie.

Pete wytarł twarz mokrym ręcznikiem. Upał wcale nie zelżał, choć synoptycy obiecywali burze i ulewy w najbliższych dniach.

- Sprawa jest o tyle tajemnicza, że nie wiemy, do czego oni dążą.

- Znów jacyś "oni"! - mruknął Bob. - Z moich informacji zebranych z Internetu, biblioteki miejskiej i Wydziału do Spraw Kościołów w radzie miejskiej wynika, że Zgromadzenie Ludu Bożego wielebnego Barry'ego Dickinsa ma czterdzieści tysięcy wyznawców i wszystkie możliwe zgody na prowadzenie działalności. Także gospodarczej. Utrzymują się z datków wiernych i Ośrodka Hippoterapii w Oazie Światła.

- Jaka hippoterapia! - wybuchnął Jupiter. - Tam nie ma ani jednego konia! Nawet na biegunach.

- Jesteś tego pewny? - trwał przy swoim Bob.

- Jasne. Myślę, że trzeba się na chwilę przeprosić z Matem Wilsonem. Albo uderzyć do George'a Lawsona. Policja powinna już znać dane ludzi spalonych w pożarze. Może to nas naprowadzi na jakiś ślad...

Telefon rozdzwonił się w najmniej odpowiedniej chwili.

- Co? Mów wolniej, nie rozumiem? - Bob przylepił ucho do słuchawki. - Uszy? Jakie uszy?

Pete podciągał się na drabince.

- Jeśli znowu znaleźli coś w lodach, to ja...

- Obciął słoniowi uszy - powiedział Bob, odkładając rozgrzany plastik. - Z szyldu nad lodziarnią! - uśmiechnął się niepewnie. - Pamiętacie? Lodziarnia Thomasów przy Gardner Street 13 nazywa się "Zielony Słoń".

- I co z tego?

- Ktoś w nocy obciął słoniowi uszy.

Jupiter Jones skrzywił się. Sprawa wymykała się z rąk. Wszystko było nielogiczne, głupie i zakrawało na pomysł szalonego kota Garfielda z telewizyjnych kreskówek.

- W jakim sitkocie my żyjemy? - zapytał bezradnie. - Jak można prowadzić poważne śledztwo, mając w jednej ręce oszalałego wielebnego, a w drugiej... uszy słonia?

- Pokój na ziemi ludziom dobrej woli. I wariatom także - mruknął Bob. - Jakoś wyrośniemy na ludzi.

- Nie byłbym taki pewny! - roześmiał się Jupiter. - Kto dzwonił?

- Jodie Thomas. Mówiła jeszcze, że wyłączenia prądu w jej dzielnicy mogą doprowadzić do nowych pożarów.

Pół godziny później parkowali przed posterunkiem w Rocky Beach. Mat Wilson zabarykadował się w swojej dziupli i nie wychodził od kilku godzin. Zniecierpliwiony konstabl łąził bez celu od okna do drzwi.

- Czego? - warknął uprzejmie na widok detektywów.

- Nie upodabniaj się do sierżanta! - huknął Jupiter. Wiedział, że z George'em czasem trzeba ostro. - Odpowiada się "dzień dobry", gdy cię inni witają.

Lawson wyglądał jak nakłuty balonik. Jakby z niego uszło całe powietrze.

- No... po co tu przyjechaliście?

- Już lepiej - skinął głową Pete. - Kto zginął w pożarze dzielnicy południowej?

Lawson wzruszył ramionami.

- Menele. Trzech bezdomnych. Sami podłożyli ogień.

Bob zmarszczył brwi.

- Pijani czy co? Nie zdążyli uciec?

George zzieleniał.

- Nie mogli. Bo już nie żyli. A w ogóle to dlaczego miałbym wam odpowiadać? - wrzasnął. Jupiter

Jones zwietrzył podstęp.

- "Nie idź po zakupy, kiedy jesteś głodny, i nie podejmuj decyzji, kiedy jesteś wściekły"! - zacytował. - Wiesz, czyja to sentencja? Niejakiego Philipa Marlowe'a. Był najslawniejszym detektywem w Los Angeles. Masz zakaz informowania społeczeństwa o postępie śledztwa? Aż dziwne, że nie przyjechała tu jeszcze Sharon Carter.

Lawson zamrugał rzęsami.

- To wy nie wiecie?

- O czym? - Bob kuł żelazo póki gorące.

- Sharon Carter wylądowała w szpitalu psychiatrycznym w Glenwood. Doktor Cloony otoczył ją troskliwą opieką. Wczoraj przewieziono ją tam pod eskortą policji. Dostała szalu i zdemolowała własne mieszkanie.

Jupiter Jones oparł się o ścianę. "Dostała szalu? - próbował w myślach odtworzyć bieg wydarzeń. - Była w sztok pijana, leciała nam przez ręce. Portier ułożył ją na kanapie i zgasił światło. Wściekła się, gdy wytrzeźwiała? Dlaczego? Co ona wie o

wielebnym? Dane z notesu? Była na niego tak wkurzona, że...”

- Tak czy siak policji nie wolno ukrywać faktów. Jeśli ty nam nie podasz szczegółów, pójdziemy do koronera. I złożymy zażalenie. - Pete coraz bardziej podnosił głos. Ostra dyskusja wywabiła z dziupli Mata Wilsona. Wypadł z zaciśniętymi pięściami.

- Co tu... - nagle się uspokoił. - Możecie coś dla mnie zrobić?

Propozycja była tak nieoczekiwana, że Bobowi dosłownie opadła szczęka. Pete zastygł w bezruchu, a Jupiter szczelniej wtarł się w ścianę.

- Myyy? - wyjąkał. - Pan myśli... o nas?

- Tak. - Wielki Mat znów zacisnął pięści. - Miewam czasem koszmary. Fakt.

- Z koszmaru można się łatwo obudzić! - Bob już się uśmiechał od ucha do ucha. - A pan ma przed sobą Trzech Detektywów. W czym możemy pomóc?

- Dowiedźcie się, kto obcina uszy ludziom, słoniom, kto truje tortem czekoladowym i gdzie się podziała peruka miss Mary Pickhard. To wszystko. Resztę zostawcie policji! - zakręcił się na pięcie, znikając w swojej ciasnej kanciapie.

George otwierał i zamykał usta. Jeszcze nigdy nie widział szefa posterunku w tak podłym nastroju.

- O co chodzi: i z tą peruką? - zdziwił się Jupiter.

- Chyba wiem - Pete zrobił trzy przysiady. To mu zawsze pomagało. - Byłem wtedy w Glenwood, kiedy umarła ta stulatka. Mary Pickhard. Podobno od dzieciństwa nie obcinała włosów. Sięgały pięć. Tak wszyscy myśleli. A okazuje się... że to była peruka!

- Pete! - jęknął Pierwszy Detektyw. - Peruka nie ma tu nic do rzeczy. Są ważniejsze sprawy.

- Są - zgodził się Crenshaw. - Pielęgniarski! Teraz kojarzę. Ten sam głos! Tak samo przeciąga samogłoski. Że też wcześniej nie zwróciłem uwagi! Niedopuszczalne.

- O czym mówisz? - Bob szarpał go za ramię. Wszystko mu się gmatwało: uszy, peruka, tort...

- Pielęgniarski. Nasz Irańczyk. Tak samo dziwnie akcentuje, jak głos, który słyszałem na miejscu pożaru. Wspominałem wam przecież!

- Mówisz o parze, której szepty słyszałeś za załomem muru? Nie widziałeś twarzy.

- Ale zapamiętałem akcent. Facet mówił: “Ilee jesczecz zozostało?” Przeciągał samogłoski jak Aram Alawi. To był on!

Jupiter odlepił się od ściany. Została na niej plama potu. Upał narastał.

- Pierwszy poważny ślad - powiedział do przerażonego Lawsona. - Powtórz wszystko Matowi. Niech policja weźmie pod lupę Irańczyka. Tylko ostrożnie, żeby faceta nie wypłoszyć. My zrobimy, co do nas należy. I pamiętaj, konstablu: jesteś świadkiem, że Mat Wilson oficjalnie poprosił nas o pomoc.

Wyszli, zostawiając George'a w tym samym miejscu, w którym go zastali.

## ROZDZIAŁ 6

### KIM JEST BILL GOODVIN?

Vanessa zadzwoniła w najmniej odpowiedniej chwili. Pete stał na zewnątrz Kwatery Głównej, w samych slipach, i z upodobaniem polewał się letnią wodą z ogrodowego węża. Wczoraj w dzielnicy, gdzie mieszkał, stanęły wszystkie hydrofony. Nie pracowały trzy banki, dwa supermarkety i tysiące klimatyzatorów. Gubernator stanu Kalifornia przeproszał mieszkańców za zaistniałe trudności, obiecywał poprawę i potępiał w czambuł prywatyzację stacji energetycznych, złe zarządzanie i spóźnioną konserwację podzespołów.

Mokry Pete dobiegł, zanim Jeszcze zniecierpliwiona Vanessa odłożyła słuchawkę.

- Pete? No, wreszcie! Myślisz, że ja mam czas ślęczeć przy telefonie?

- Przepraszam, ale w kwaterze powietrze można kroić nożem do indyka. Nie wiesz, kiedy się wreszcie ochłodzi?

- Nie wiem. Mam dla ciebie pewną... informację. Ale nie przez telefon.

Pete skrzywił usta. Czuł, że Vanessa chce się z nim spotkać sam na sam. Ot, tak sobie. By powspominać stare dzieje. Każdy pretekst dobry dla dziewczyny, która nigdy nie złożyła broni.

- Mamy dużo pracy. Śledztwo się wikła i Jupiter...

- Właśnie chodzi o śledztwo - zamruczała, ścisząc głos. - Sądzę, że koroner ma jakiś nowy trop. Był tu u nas. W Prokuraturze Generalnej.

- Dobra - Crenshaw nie lubił tracić czasu. - Gdzie i kiedy?

Bob Andrews przyjechał na rowerze godzinę po wyjściu Crenshawa.

- Jupe! Coś się dzieje! W Sun Press, gdzie pracuje ojciec, ukazał się artykuł...

Jupiter Jones odłożył gazetę.

- Też to widziałem. Niby nic. Ale co parę dni jakiś inwestor chce zbudować południowe nadbrzeże. Najlepiej całe Grovenor. Ten facet... jak mu tam...

- Bili Goodvin. Autor projektu Scenic Parc. Chodzi o kilka tysięcy akrów. Także rezerwat przyrody. Dzikie ptactwo, grzechotniki... - denerwował się Andrews.

- Grzechotniki są bardzo ważne - zgodził się Pierwszy Detektyw. - Także juka i nadbrzeżne klify. Ale facet chce zbudować to, co już jest zbudowane: południową dzielnicę. Grovenor.

- Właśnie. Mają zniknąć wszystkie stare rudery. I dawne składy zbożowe. Także

te, które się właśnie spaliły. Mówi ci to coś?

Jupiter skinął głową.

- Mówi. Facet chce wybudować na tym terenie Scenic Parc. A przecież w pobliżu jest Marineland! Wielkie oceanarium z fokami, wielorybami i delfinami. Po co więc Scenic Parc? Wietrzę tu jakiś przekręt.

Bob usiadł do komputera.

- Patrz, to jest ten teren. Bili Goodvin przedstawia się jako generalny inwestor. Ciągnie za sobą kapitał co najmniej czterech banków, spółki matki, spółki córki. Urząd Miasta nie widzi w tym nic podejrzanego? Szkoda, że Sharon Carter została odwieziona do kliniki w Glenwood. Mogłaby się tym zająć.

- My się zajmiemy! - Jupiter stuknął palcem w artykuł atakujący wytłuszczonymi czcionkami. - Skoro gubernator Kalifornii nie protestuje...

- Może ma w tym jakiś interes?

Jupiter sięgnął do lodówki. Niestety, całkiem zamokła.

- Co z tym światłem? Gubernator przeprosza za elektrownie, a co robią jego urzędnicy?

Bob wzruszył ramionami.

- Gdzie Crenshaw?

- Na randce z Vanessą! - zazłościł się Jupiter. - Twierdził, że to może być ważny trop. Ale ja nie wierzę. Vanessa oddałaby duszę wielebnemu Dickinsowi za kolację przy świecach z naszym Drugim Detektywem. Żeby się spotkać, wmówi mu słonia bez uszu!

Nawet wizyta Lucy McCormick nie poprawiła im humorów. Choć dziewczyna starała się, jak mogła.

- Słyszeliście o Sharon Carter? - spytała od progu.

- Jasne. Wylądowała u czubków. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Chciałabym być w kursie. Co nowego odkryliście?

Bob wzruszył ramionami. Na wszelki wypadek schował walające się papiery. Nie znosił, gdy mu ktoś zaglądał do tajnego zeszytu.

Jupiter wachlował się gazetą.

- A co ty wiesz? Mieszkasz przecież w tamtej dzielnicy. Nic was nie niepokoi?

- Wszyscy żyją w wielkim stresie. Sklepikarze, restauratorzy. No... wszyscy. Boją się, że znów ktoś coś podpali. Policja mówi, że ci trzej, co zginęli od ognia, zostali... zastrzeleni!

Jupe szeroko otworzył oczy.

- Zastrzeleni? Przez kogo?

Lucy pochyliła twarz. Włosy opadły jej na oczy.

- Nie wiadomo. Koroner stwierdził to po sekcji zwłok. Mówili też o tym w radio.

Nie słuchacie?

Bob przecesał palcami wilgotne włosy. Znów pocił się niczym zawodnik sumo.

- Ciekawe. Trzeba sprawdzić. Masz jeszcze jakieś rewelacje?

- Mam. Sam Sparrow, ten właściciel wytwórni lodów...

- Wiem! - wtrącił Jupe. - Sam Sparrow and Sons. Co z nim?

- Wystawił fabrykę wraz z gruntem na sprzedaż. Już się tam kręci facet z wielkimi pieniędzmi.

Bob oblizał suche usta.

- Szczury wieją z tonącego okrętu.

- Ciekawa teoria. Sądzisz, że ktoś wymusza te sytuacje? Szantaż? Jeśli nie sprzedasz, to my cię spalimy? Obetniemy słoniowi uszy? Zatrujemy tort czekoladowy?

Lucy roześmiała się perliście.

- Chyba przesadziłeś. Ja nic nie wiem.

Pete wpadł jak burza. Usiadł na podłodze i wyrzucił z siebie:

- Już wiem!

- Co? - wykrzyknęli prawie chórem.

- Wiem, gdzie jest peruka Mary Pickhard!

Bob pokręcił głową.

- Gdzie?

Pete otworzył pustą lodówkę. Skrzywił się i zamknął drzwiczki.

- Nie ma niczego do picia? Bez coca-coli nie przeżyję nawet pięciu minut.

Perukę ma anioł.

- Anioł? Jaki anioł? - jęknął Jupiter Jones. Też był spragniony. Przed oczyma miał ogromną butelkę mineralnej z lodem.

- Szatan dostał anioła.

Bob nie wytrzymał nerwowo.

- Zgłupiałeś, Crenshaw? Susza ci na mózg padła?

Pete uśmiechnął się do Lucy.

- Ty wiesz, prawda?

Dziewczyna wyraźnie się speszyła.

- Ja? O czym? Nic nie wiem.

- A wczorajsze wydarzenie o sto metrów od domu, w którym mieszkasz? Po zmroku?

Lucy McCormick głęboko oddychała.

- Mówisz o... aniele, który latał nad oceanem?

Jupiter Jones miał serdecznie dość.

- Stop! Natychmiast przestańcie! Pete, albo zaczniesz od początku, albo cię zawiozę do psychiatry Roba Cloony'ego. Będziesz sobie leżał na jednym oddziale z Sharon Carter. Już!

Pete uspokoił się. Oparł się plecami o ścianę, przymykając oczy.

- Wezwała mnie Vanessą. To już wiecie. Poszliśmy na... lody.

- Nie! - wrzasnął Bob. - Żadnych lodów!

- No... piliśmy tylko mrożoną herbatę. Vanessa opowiedziała mi niesamowitą historię związaną z wielbnym Barrym Dickinsem. Otóż po północy, nad brzegiem oceanu zorganizował spotkanie swojego Ludu Bożego. Około pięciuset wyznawców w białych kapturach obsiadło nadbrzeże i falochron. Wielbny tak skutecznie wzywał szatana, by ogniem oczyścił ludzkie dusze, że nagle zapaliły się krzewy na wzgórzu. Pożar nie wybuchł tylko dzięki przytomności umysłu kilkunastu okolicznych mieszkańców. Ugasili płomień, zanim zdążył się rozprzestrzenić. Straż pożarna stwierdziła, że ktoś rozlał benzynę.

- A co z tym aniołem?

Pete roześmiał się cicho.

- Wielbny, jak zwykle, mylił wszystko: Pana Boga z Lucyferem. Nagle uniósł ręce w górę, strzeliło białe światło, a znad oceanu nadleciał anioł... z włosami do pięt.

- Jak to: nadleciał? - Bob był racjonalistą. Nie wierzył w czary ani gusła.

- Tak to wyglądało. Wielbny coś wrzeszczał, tłum falował, wszyscy wpadli w trans. I nagle czerwony płomień przeciął anioła na pół. Jego ciało poszło pod wodę. Na falach została tylko siwa peruka. Strażacy ją wyłowili. A Mat Wilson stwierdził, że to zguba nieboszczki.

- Mary Pickhard? To jakiś obłąd, Pete.

Crenshaw westchnął.

- Też tak myślę. Opowiadam tylko to, co dotarło do Vanessy. A ty, Lucy, nic nie widziałaś?

Dziewczyna zamrugła powiekami.



- Ja? Nie. Byłam u wujostwa. W innej części miasta.

- I nie słyszałeś o Zgromadzeniu Ludu Bożego? - zdziwił się niepomiernie Bob. - Nikt ci o tym nie opowiadał?

Lucy zerwała się na równe nogi.

- Muszę już lecieć! Cześć, chłopaki! - zbiegła po schodkach tak szybko, jakby ją gonił sam szatan wielbego Dickinsa.

- Łże jak pies - mruknął Jupiter zgnębiony. - Tylko dlaczego?

Następnego dnia wypadała niedziela. Miasto całkowicie wymarło. Kto żyw, układał się w cieniu i tam dyszał z gorąca. Tylko Trzej Detektywi nie mogli sobie pozwolić na słodkie nieróbstwo. Zanurzeni po szyje w oceanie, siedzieli u stóp drewnianego mola i naradzali się.

- Zaczynam wietrzyć... - odezwał się Bob, naciągając mokry płócienny kapelusz na nos. Zdjął nawet okulary, żeby się przez przypadek nie utopiły.

- Ja też - burknął Jupiter, ssąc wargę. - Ktoś chce wystraszyć na śmierć mieszkańców Grovenor. Te uszy w lodach, trutka w torcie, zamknięcie paru fabryk i zakładów, pożary wybuchające ni stąd, ni zowąd, świadczą wyraźnie o tym, że czyjeś wielkie pieniądze muszą zostać gdzieś ulokowane... coś musi być kupione...

Pete rozchlapował zupę grochową, do której dziś podobny był ocean tuż przy plaży.

- Dlaczego sądzisz, że pieniądze muszą zostać zainwestowane?

- To proste. Zapewne wielki kapitał pochodzi z pralni. Ktoś wyprał brudną forszę i musi ją zainwestować w legalny interes.

- Wyprał poprzez banki? - Pete nie chciał dopuścić myśli, że gdzieś jakiś amerykański bank zdobył się na tyle niegodziwości. - Do czego to doszło? Gdzie się podziały solidne instytucje?

- Zmarły śmiercią tragiczną. - Pete o mało nie zachłysnął się wodą razem z parzącą meduzą zeglującą spokojnie obok jego głowy. - Poszła won!

- Dobrze - zgodził się Bob. - Ale co ma do tego wielbny? Klinika w Oazie Cloony? Sharon Carter i cała reszta? Kim była kobieta, której głos słyszałeś w załomie muru? Wciąż jest tyle niewiadomych.

- Jedno się wyjaśniło - Jupiter leniwie rozgarniał wodę. - Ci trzej, którzy zginęli w pożarze, to wyznawcy Zgromadzenia Ludu Bożego.

- Przecież zginęli od broni palnej! - wykrzyknął Pete. - Ktoś ich załatwił.

- George Lawson powiedział mi, że znaleziono broń bez... odcisków palców.

Dokładnie wytarty rewolwer. Leżał niedaleko miejsca, w którym, o ile pamiętacie, parkował wiśniowy jaguar. - Jupiter Jones czuł drobiny piasku przepływające pomiędzy palcami stóp. Było mu dobrze i spokojnie. Przestał się nawet irytować na śledztwo ciągnące się niczym długie włoskie spaghetti. - I jeszcze coś: ten samochód użytkuje także Bill Goodvin. Inwestor Scenic Parc.

- A wcześniej samochód stał na parkingu kliniki Glenwood?

- Tak. - Jupiter poruszał stopami. Glony podpływały ciemną kępą. - I dlatego sądzę, że to jest jedna szajka.

Pete miał dość bezruchu. Wstał, rozpryskując fontanny kropel.

- Doktor Rob Cloony i Bili Goodvin. A wielebny?

Bob zmrużył oczy. Słońce stało w zenicie.

- Też musi mieć z nimi powiązania. Samochód to raz. Grovenor to dwa.

- Co masz na myśli?

- Nie od parady organizuje cały swój show z diabłem i aniołem w peruce akurat na terenie przyszłej inwestycji. I ma forsy jak lodu.

Pete prężył mięśnie. Jego zgrabne opalone ciało składało się z samych mięśni, bez grama tłuszczu. Jupiter zazgrzytał z zazdrości.

- Wszyscy wiemy, jak się robi takie techniczne gagi. Twój ojciec niejednokrotnie udowodnił, co potrafi zrobić dobry zespół od efektów specjalnych. Płynący po niebie anioł albo straszna gęba diabła. To tylko laser, system luster sterowanych z elektronicznego pulpitu, usytuowanego nawet trzysta metrów dalej. Nie wiem, po co zabrali perukę nieboszczki Mary Pickhard. To był błąd. Policja od razu wpadła na trop. Nawet półgłówek Lawson zorientował się, że skoro coś gdzieś ginie, to znajdzie się w innym miejscu. Jak ucho tancerza w lodach cytrynowych. I jedno, i drugie zwinął nasz Irańczyk. Jest jedynym pewnym łącznikiem we wszystkich sprawach.

- Zgoda. - Jupe dreptał po piasku na dnie. Znad zachodniego wzgórza nadpływały białe i szare obłoki. - Zbieramy się stąd! - powiedział, przesłaniając ręką oczy. - Coś się dzieje z pogodą. Znosi się na sztorm.

W Kwaterze Głównej nie dało się wytrzymać. Przeszli do mieszkania ciotki Matyldy, gdzie, o dziwo, wciąż działała klimatyzacja. Widać bossowie od energetyki wzięli sobie do serca narzekania Kalifornijczyków.

- Co trzeba zrobić, żeby śledztwo szybciej ruszyło z miejsca? - spytał Bob.

- Ty dostaniesz zadanie specjalne. Sprawdzisz w Urzędzie Geodezyjnym, kto

jest właścicielem terenów w dzielnicy południowej.

- Dobrze. Już dawno o tym myślałem.

- A ja spróbuję odwiedzić choreńką Sharon Carter - westchnął Jupiter Jones. - Czuję się nieco odpowiedzialny za jej stan. Pojechałem jako... tapicer. Bo ona rzeczywiście kupiła u nas komplet starych chippendali bez pokrycia. Zaproponowałem próbki tkanin. A przecież ciotka Matylda tym się w ogóle nie zajmuje.

- Rozumiem. Trzeba dokładnie wyjaśnić, co ją tak wkurzyło, że upiła się do nieprzytomności. - Pete wciągał czerwoną koszulkę zawodnika Rocky Beach-Północ. - Treningu dziś nie mam, więc odwiedzę Jodie...

- Piegowatą Thomas? Podrywasz tę biedną dziewczynę?

- Tylko dla dobra sprawy! - zastrzegł się Crenshaw. - No, wiejemy, bo chmury wiszą już nad brzegiem oceanu.

Tej nocy rozpętała się nawałnica, jakiej nie pamiętał nikt w mieście. Ulewa waliła w okna, kładła drzewa i wyrywała palmowe liście, które gnane wiatrem, szczelnie zalepiały kratki studzienek kanalizacyjnych. Wichura szalała wśród starej i nowej zabudowy. Z okien wieżowców często sypało się szkło. Nikt nie zmrużył oka. Ludzie ze strachem patrzyli na zniszczenia.

- Kara Boża za grzechy świata! - jęczała przerażona ciotka Matylda, wpatrzona w powiększającą się plamę na suficie. - Dach przecieka. Tytus, zrób coś!

- Co mogę teraz zrobić? - odpowiadał wuj, ssąc wygasłą fajkę. - Jutro sprawdzę. Dobrze, że chłopcy zabezpieczyli drzwi do magazynu. Ale przyczepa kempingowa może ucierpieć.

- Nasza Kwatera Główna! - Jupiter martwił się o pozostawiony sprzęt komputerowy.

Do rana miasteczko trzęsło się ze strachu. O szóstej wiatr zmienił kierunek i ucichł na tyle, by można było zacząć liczyć straty. Ocean szalał nadal, rozbijając się z hukiem o falochrony. Na szczęście dach przyczepy wytrzymał. Komputer stał bezpiecznie, a tylko schodki odfrunęły o kilkanaście metrów.

Telefon zabrzczał jakby nigdy nic.

- Jupe? Żyjesz? Wszystko w porządku? - Bob, jak dobry gospodarz, sprawdzał, czy żywiec w chlewie dostał karmę.

- OK. Nic się tu nie stało. W domu dach przeciekł. Całkiem zatopiło konfitury. Jedziesz do Urzędu Geodezji?

- Spróbuję. Wiele instytucji dziś nie pracuje. Sprzątają po nocnym bałaganie. Radio podało, że na posterunku policji wiatr wybił wszystkie szyby. Mat Wilson musi wypuścić złodziejasków z aresztu, bo nie potrafi dostarczyć im gorącej kawy! Uwierzysz?

Jupiter Jones pokiwał głową.

- Wyobrażam sobie wściekłość faceta. A może wiesz, jak jest na autostradach?

- Ogólnie w porządku. Było parę stłuczek. Aha, na A-6 przewróciła się cysterna z olejem opałowym. Ale ty nie jedziesz tamtędy. W kanionach były szkody. Uważaj na przewrócone drzewa.

Jupiter z przyjemnością zjadł rogaliki i popił kawą. Piekarnia na rogu pracowała bez zakłóceń.

- Jadę, ciociu. Mam ważne zadanie.

-Wrócisz na obiad?

- Nie wiem. Ale... potrzebuję trochę forsy...

Matylda uniosła wzrok w górę.

- Jupiterze, czy ja wyglądam na bankomat? Idź do Tytusa.

Na szosie było prawie spokojnie. Dopiero u wylotu Kanionu Oaks zaroilo się od strażaków.

- Co się stało? - Jupiter odkręcił szybę. Wiatr uspokoił się, ale wciąż siąpił uporczywy deszcz.

- Zaraz odblokujemy drogę. Zwaliło się drzewo. Jedzie pan do szpitala Glenwood?

- Tak. W odwiedzin.

Strażak miał brudną, spoconą twarz. Widać było, że pracuje od wielu godzin.

- Zawaliło się nowe skrzydło. To nad urwiskiem. Są ofiary.

Jupiter zmarszczył brwi.

- Tym bardziej muszę tam pojechać.

Strażak otarł czoło. Dał znak stojącemu wyżej. Zza krzaków wyskoczył wiśniowy jaguar. Aby ominąć Jupitera w jego starym, szerokim fordzie, musiał przyhamować, i dlatego Pierwszy Detektyw dokładnie przyjrzał się kierowcy. Miał krótko przycięte włosy i długą, pociągłą twarz bez zarostu. Na brodzie wyraźnie odcinała się szrama po jakiejś zaleczonej ranie.

- Czyżby doktor Cloony? - zdziwił się Jupiter. - Przecież to samochód

wielebnego. Albo Billa Goodvina?

## ROZDZIAŁ 7

### CO SIĘ PRZYDARZYŁO SHARON CARTER?

Im wyżej, tym gorzej. Jupiter przekonał się o tym na własnej skórze. Gałęzie wciąż tarasowały stosunkowo wąską drogę. Na szczęście nikt nie zjeżdżał z góry. Kiedy odciągnął na pobocze potężny konar kalifornijskiej jodły, aż jęknął:

- Do diabła z taką kondycją!

Sam szpital zrazu nie sprawiał złego wrażenia. Od strony pustego parkingu nie można było dostrzec zniszczeń. Jupiter wysiadł, kierując się ku urwisku. Gdy się zatrzymał, zrozumiał, co się stało. Szklany pawilon, prawie wiszący nad przepaścią, zwałił się w nią. Podpory nie wytrzymały wichury i ciśnienia skał. Obsunęły się razem z całą ścianą. Szyby z rozbitych okien, pokruszone niczym lód do koktajli, lśniły wśród gęstych krzewów. W dół poleciało wyposażenie sali, łóżka i pozostałe meble. Część personelu, wspomagana przez strażaków, przeszukiwała gąszcz.

- To straszne! - usłyszał za sobą piskliwy głos. Stara kobieta, okutana płaszczem kąpielowym, pochylała się niebezpiecznie nad urwiskiem. - Ona tam jest!

- Kto? - Jupiter chwycił nieszczęsną za ramię. - Proszę uważać!

- Ona. Miss Bourke. To znaczy Sally.

- Skąd pani wie?

Staruszka ukazała w uśmiechu rząd akrylowych zębów made in Hollywood.

- A doktor Cloony dostał, co chciał! - zachichotała, przysłaniając usta dłonią.

- To znaczy? - Jupiter mocno trzymał starą damę.

- Jej majątek. Sally to najbogatsze babsko w Hollywood. Ma akcje przemysłu stalowego i te... jak im tam... no, w banku W Sacramento.

- Skąd pani o tym wie? - Jupiter uśmiechnął się do wyblakłych oczu w kolorze przylaszczki. Tak, była wiekowa, ale w jej źrenicach igrały figlarne iskierki. Nie, zapewne nie należała do demencyjnych staruszek, jakich pełno w Glenwood.

- Bo całe życie śledziłam takie sprawy! Zrobiła majątek na hollywoodzkich ploteczkach. Wiesz... kto z kim śpi, kto komu ukradł rolę, kto położył film. Jestem Martha Colby. Niegdyś największa skandalistka kolorowych gazetek.

Jupiter zmarszczył czoło. Coś mówiło mu to nazwisko. Ale tak po prawdzie nie śledził brukowej prasy zbyt dokładnie. To była raczej domena ciotki Matyldy.

- Sądzi pani, że doktor Rob Cloony wysyłał swoje pacjentki na... śmierć, kiedy już przepisały majątek? Na jego nazwisko?

Staruszka uniosła upierścienioną dłoń. Brylanty i szafiry aż kłuły wzrok. Do tego dźwięki brzęczących złotych kół wokół nadgarstka.

- Ja nie sędzę. Ja wiem.

Jupiter odwrócił wzrok od gruzowiska. Miał ochotę usiąść i napić się coca-coli.

- Nie ma sensu tu stać. Zaprowadzę panią do barku. Tam porozmawiamy. Bo o ile wiem... doktor wyjechał.

Martha nie protestowała. Dała się zaprowadzić do namiotu. Na szczęście stał nienaruszony. Cały czas trzymała dłoń Jupitera w mocnym uścisku, jakby bojąc się ją puścić.

- Wyglądasz na mądrego chłopaka - mruzczała, rzucając uważne spojrzenia na boki. - Powiem ci coś: mnie też chciał uśmiercić.

Jupiter poczuł zimny pot na plecach.

- Też mu pani zapisała majątek?

Martha Colby zachichotała niczym nastolatka. Jej krótkie, kręcone siwe włosy podskakiwały przy każdym ruchu niczym drobne sprężynki.

- Nie zgłupiałam, synku! Adwokat dobrze pilnuje całej fortuny. Ale córka mnie tu podrzuciła pół roku temu. I zupełnie o tym zapomniała. Pewnie wynajęła moją willę w Beverly Hilis i boi się do tego przyznać.

- Podobno pobyt tu kosztuje majątek - stwierdził Jupiter, sadzając starszą damę na plastikowym krzeselku. - Córka płaci?

Martha znów zachichotała.

- Rebecca ma męża sknerę. Sama płacę.

Przy barku nie było nikogo. Widać personel całkowicie potracił głowy. Słychać było klaksony i wycie karettek pogotowia. Jupiter wszedł za ladę i otworzył lodówkę. Była pełna alkoholi i wszelakich napojów.

- Co dla pani? - zawołał.

- Nie chcę gin-fizzu. Chcę Glennfiddich on the rocks! - rześko zerwała się z krzesła. Z wprawą barmana naląła wysoką szklanekę tajemniczej, sobie tylko znanej mieszanki. - Tobie też radzę.

- Nie mogę. Prowadzę samochód - wziął dużą butelkę mineralnej.

Choć nie było już tak gorąco jak przed burzą, powietrze wydawało się duszne i lepkie od wilgoci. - Twierdzi pani zatem, że doktor Cloony żyje z majątków swoich pacjentek?

- Oczywiście. Ma świetnych adwokatów i nikt się do niego nie przyczepi. To, że

stuletni artyści umierają, nikogo nie dziwi. To, że swoje olbrzymie pieniądze zapisują na rzecz kliniki, także nie. W końcu lepiej wyposażyć Glenwood niż cmentarz dla zwierząt albo fundację jednego z tych obłąkanych sekciarzy, którzy myślą Boga z diabłem. No nie? - jej oczy śmiały się. Alkohol w zastraszającym tempie zniknął ze szklanki. - To, że się zawaliło nowe skrzydło kliniki, też jest winą doktorka. Chciał zaoszczędzić na materiałach budowlanych. Pomagał mu w tym taki hochsztapler, Bili Goodvin. - Powtórzę dawkę korzystając z tego, że nie widzi mnie żaden pielęgniarz!

Jupiter odstawił butelkę. Była prawie pusta.

- Żaby mi się w brzuchu zalegną - powiedział, gdy rozbawiona Martha Colby dopadła nowej, podwójnej porcji ulubionego trunku. - Muszę już iść. Przyjechałem, by odwiedzić znajomą.

- Kogo?

- Nazywa się Sharon Carter. Jest dziennikarką radiową.

- Jeśli ma mniej niż dziewięćdziesiąt lat, to nie słyszałam o niej.

Pojawiła się pielęgniarzka z wyraźnie zmarszczoną twarzą.

- O, miss Colby! Nie wolno pani pić alkoholu! Co doktor powie?

- Nic. Bo mu o tym nie wspomnisz. Jasne, dziecinko? Do widzenia, chłopcze. Odszukaj znajomą, o ile jeszcze żyje! - piskliwy śmiech staruszki w różowym płaszczu kąpielowym długo wisiał w powietrzu.

W administracji nie było Cariny Lopez. W ogóle nikogo nie było. Jupiter ostrożnie odwrócił ekran komputera. Wcisnął enter. Ukazała się lista pacjentów.

- Jest! Sharon Carter. Pokój czterdziesty drugi. Trzecie piętro.

Mijali go w pędzie sanitariusze z noszami. Nikt nie zwracał uwagi na gościa. No, może z wyjątkiem porcelanowej lalki Barbie. Stała na szczycie schodów, a łzy jak groch płynęły po jej policzkach.

- Taka tragedia! A... pan do kogo? Dziś nie ma odwiedzin. Doktor Cloony...

Jupiter przystanął. Żałował, że nie ma z nim Crenshawa. Ten zawsze sobie radził z dziewczynami.

- Doktora spotkałem, jak zjeżdżał do miasta. Zgodził się na moje odwiedziny u Sharon.

- U panny Carter? Naprawdę się zgodził? - błękitne oczy otworzyły się szeroko.

- Tak. Przecież tu trzeba ludziom pomagać. Wichura zwała część budynku.

Lalka Barbie znów zalała się łzami.

- No właśnie. Trzech pacjentów zginęło. Śmierć na miejscu. A pielęgniarzka z



trzeciego piętra została ranna. Ma zmiądzoną stopę.

Jupiter nie wiedział, jak pocieszać dziewczynę.

- Pogotowie się tym zajęło. Czy Sharon jest u siebie?

Skinęła głową.

- Powinnam jej podać środek nasenny. Doktor kazał...

- Zajmę się nią. Gdzie te pigułki?

Dziewczyna sięgnęła do kieszeni fartucha. Wyjęła słoiczek pełen żółtych drażetek.

- Dwie, dobrze? Pójdę na dół. A ona niech to popije.

W pokoju było mrocznie, żaluzje nie przepuszczały światła. Ale Sharon nie spała. Siedziała na łóżku, w koronkowej piżamie, z walkmanem na uszach. Wejście Jupitera wcale jej nie zaskoczyło.

- Jak sytuacja? - zapytała całkiem przytomnie. - Można zwiać?

Jupiter Jones wciągnął nosem powietrze.

- Chce się pani stąd... urwać? Dlaczego?

Sharon błyskawicznie zdjęła górę piżamy. Pod spodem miała koszulkę bawełnianą z wizerunkiem wielebnego Barry'ego Dickinsa. Jupiter przełknął ślinę.

- Czy pani mnie poznaje?

- Jasne. To ty pojechałeś ze mną do Oazy Metropol. Wszystko ci wyjaśnię. Jesteś tapicerem, tak?

Pierwszy Detektyw skrzywił usta.

- To nieprawda. Przedstawiłem się tak, bo chciałem z panią porozmawiać. Jestem detektywem...

Sharon wyskakiwała właśnie z różowych spodni, pod którymi miała dżinsy.

- Jeszcze lepiej! Ten diabeł w ludzkim ciele mnie popamięta!

- Kto? Wielebny?

- Taki on wielebny jak ze mnie tancerka na linie! Przywieźli mnie tutaj bez mojej zgody. Siłą. Upili do nieprzytomności...

- No... pamiętam. Leciła nam pani przez ręce. To ja dowiozłem panią do domu z Oazy Światła czy też Metropolu...

- Nigdy mu tego nie daruję! A obiecywał, że mi ułatwi karierę w telewizji!

Jupiter bezradnie patrzył, jak Sharon pakuje rzeczy w węzełek zrobiony z poszewki na poduszkę.

- Chce pani naprawdę wrócić do Rocky Beach?

Sharon zawiązała poszewkę.

- Czy ja wyglądam na wariatkę? Dość mam tych prochów, po których odpływam w niebyt. Widzisz? - odsunęła dłonią róg poduszki. - Tu je wypluwałam. I dlatego jestem przytomna. No, teraz okno...

Jupiter rzucił się, by powstrzymać dziewczynę.

- Chce pani wyskoczyć z trzeciego piętra? Bez spadochronu?

Sharon roześmiała się.

- Sprawdzam tylko twoje poczucie humoru. Ty otwierasz drzwi i mówisz, czy droga wolna.

Jupiter Jones wziął z jej ręki tobolek. Wolał, by nie rzucała się w oczy. W końcu nie wiadomo, czy ktoś jej nie pilnuje. I dlaczego. A nuż Irańczyk pojawi się na horyzoncie? Z nożem do obcinania uszu! Ostrożnie wyjrzał na schody.

- Droga wolna! już!

Na pierwszym piętrze zmuszeni byli ukryć się za kolumną. Dwóch roślących pielęgniarzy zaganiało do łóżka upartą Marthę Colby.

- Jak się tu dostałeś? - szepnęła Sharon.

- Zabiłem kilka smoków.

- To dobrze. Pobyt w tym szpitalu musi się dla każdego skończyć załadunkiem do estetycznej trumny. Wiesz coś na ten temat?

- Więcej, niż pani przypuszcza. Teraz uwaga... spadamy!

Zbiegli w dół, nie zatrzymując się ani na sekundę. Przegalopowali przez rozległy hol, by wypaść na boczny parking.

- Gdzie twój samochód?

- Przed głównym wejściem. Proszę tu zostać. Podjadę.

Ale stary ford, jak zawsze, miał swoje fochy. Ze trzy minuty trwało, zanim silnik zaskoczył.

Sharon niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

- To trwało dłużej niż moje trzecie małżeństwo - wysyczała, otwierając drzwi.

- Nie tutaj! - zaprotestował. - Proszę się zwinąć na tylnym siedzeniu i przykryć kocem.

- Nie chcę!

- Nie pytałem, czy pani chce! Już! Wykonać!

Poskutkowało. Krnąbrna dziewczyna zastosowała się do polecenia. Zjeżdżali w

dół na pierwszym biegu. U wylotu kanionu straż kończyła sprzątanie. Ku zdziwieniu Jupitera, na poboczu parkował radiowóz policyjny. George Lawson położył dłonie na masce forda.

- Stop! Co tu robisz?

Jupiter Jones poklepał tobolek z rzeczami Sharon leżący na siedzeniu pasażera.

- Wiozę pranie. Szukacie terrorystów?

George cofnął się.

- No... nie musisz wszystkiego wiedzieć. Byłeś tam, na górze?

- Tak. Straszna katastrofa. Dlaczego nie ma tam jeszcze koronera ani policji?

Lawson wypluł żutą gumę.

- Mat nie kazał. Był u nas doktor Cloony. Powiedział, że pogotowie wystarczy.

- I kostnica! - mruknął Jupiter, włączając starter. - Na waszym miejscu dobrze bym się przyjrzał szpitalowi Glenwood. Nie dziw, że go nazywają Oazą Cloony!

Ujechali jeszcze ze trzy kilometry, zanim Jupiter pozwolił Sharon przesiąść się do przodu.

- Co właściwie zrobił ci wielebny Dickins, że jesteś tak na niego wkurzona? O co chodzi z tą telewizją?

Wzruszyła ramionami.

- Długa historia. I nic ci do tego. Z wielebnym mam swoje porachunki. Nie od dziś.

- Byłaś jego tubą radiową? - roześmiał się Jupiter.

- Coś w tym rodzaju. Radio The Californian Sunbeams chciało pomóc w paru szczytnych akcjach Zgromadzenia Ludu Bożego. Wtedy ja i mój szef sądziliśmy, że mamy do czynienia z uczciwymi ludźmi.

- A nie są uczciwi?

- To szaleńcy. Najgorszego gatunku sekciarze! Ale wielebny ma do spełnienia jakąś misję. Podejrzewamy, że straszy ludzi, by osiągnąć korzyści materialne. Bo niby za czyje pieniądze kupił Oazę Metropol? Skorumpował nawet ludzi filmu, którzy za darmo organizują mu techniczną stronę występów.

- Myślisz o latającym aniele i twarzy szatana?

- Tak.

- Ostatnio zrobili widowisko nad brzegiem oceanu. W południowej dzielnicy miasta. Ludzie ze strachu nie wychodzili z domów. Nie boisz się zadzierać z wielebnym? Może mieć na usługach nawet gangsterów!

Roześmiała się.

- Po czterdziestce łatwiej zginąć z ręki terrorysty niż znaleźć męża! Zatrzymaj się za skrzyżowaniem. Wsiadam. Będziemy w kontakcie. Swoją drogą szkoda, że nie jesteś tapicerem.

Jupiter podjechał pod Kwaterę Główną w momencie, gdy Bob ustawiał swój rower.

- Dobrze, że jesteś. Mam kupę wiadomości. Puzzle zaczynają się pomału układać. Co z Crenshawem?

- Boksuje w salce parafialnej. Pastor prosił go o parę lekcji dla podopiecznych z marginesu.

Jupiter rzucił się na kanapę.

- Jeszcze jeden wielebny! Całe przedpołudnie spędziłem na wysłuchiwanie żalów stulatki z Glenwood i naszej Sharon. Także na temat Barry'ego Dickinsa. Co masz?

Bob włączył komputer. Zamrugła koperta.

- Czekaj. Naprzód odczytam wszystkie e-maile. Jest! - wrzasnął nagle, zrywając się z krzesła.

Potrącił kubek i wylał na podłogę resztę kawy z mlekiem.

- Spoko, Bob. Opanuj się.

Andrews wpatrywał się w ekran jak wąż w kurczaka.

- Miałem rację. Urząd Geodezyjny potwierdza.

- Co?

- Że grunty w dzielnicy południowej należą do kilkunastu prywatnych właścicieli, a nie do hrabstwa.

- Bill Goodvin będzie miał ułatwione zadanie?

- Właśnie.

Jupiter ziewnął. Miał ochotę na małą drzemkę i porcję pizzy z paprykową kielbasą, szynką i wołowiną równocześnie. No i żeby była grubo posypana serem.

- To żadna rewelacja - mruknął. - Przecież Goodvin chce te tereny wykupić.

Bob stęknął.

- Jupe, nie śledziłeś sprawy. Nie znasz wszystkich faktów. Zaczekam z rewelacjami na Crenshawa, żeby się niepotrzebnie nie powtarzać. Ale powiem ci jedno: ktoś tu robi gigantyczny przekręt. A zamieszani są wszyscy trzej: wielebny

Barry Dickins, inwestor Goodvin oraz... doktor Rob Cloony!

Lucy McCormick wisiała u ramienia Crenshawa, gdy wreszcie dobił do pozostałych detektywów. Na widok wdzięczącej się dziewczyny Jupiter ostentacyjnie rozwalił się na kanapie.

- Co tak późno? - warknął.

Bob błyskawicznie wyłączył komputer, przykrywając gazetą rozłożone notatki.

- Byliśmy z Lucy na koktajlu mlecznym! - Pete uśmiechnął się szeroko.

- Myślałem, że boksujesz margines społeczny w parafii świętego Erazma! - syknął Andrews, wściekły, że nie będzie mógł przekazać ważnych informacji, nad którymi pracował w pocie czoła przez ostatnie czterdzieści osiem godzin.

Pete beztrząsco rzucił plecak w kąt przyczepy.

- Na wszystko jest czas. Lucy jest tak bardzo zainteresowana tym, co robię, że postanowiła pomóc nam w dochodzeniu...

Jupiter Jones skrzywił się.

- Trzej Detektywi nie potrzebują pomocy.

Pete wzruszył ramionami.

- No... nie wiem. Lucy mówi...

Bob trzepnął dłonią o blat biurka, aż podskoczyła lampka.

- Lucy chyba umie sama powiedzieć, co ma do zakomunikowania. Nie musisz być jej adwokatem.

Crenshaw przysiadł na piętach. Spoglądał na obu przyjaciół, jakby ich zobaczył po raz pierwszy w życiu.

- Co z wami, chłopaki? Na mózg wam padło? Macie jakiś problem?

- Nie chcecie pomocy, to nie. Ale mówiłam... - Lucy zamrugała rzęsami, uczepliwszy się ramienia Crenshawa, jakby otoczyła ją znieścacka banda gangsterów z pistoletami maszynowymi w dłoniach. - To ja już... lepiej pójdę!

Nikt jej nie zatrzymywał. Nawet Pete. Jednakże awantura wyraźnie wisiała w powietrzu. I powiewała niczym peruka stuletniej miss Pickhard nad wzburzonymi falami Pacyfiku.

Pierwszy odezwał się Bob:

- Oni chcą wyburzyć cały kwartał pomiędzy Gardner Street, Melrose Hill, placem Victoria aż po południowe wybrzeże oceanu.

- Kto? - warknął Pete.

- Ci od Scenic Parc. Wspólnicy: Goodvin, Cloony i Barry Dickins.

Jupiter rozłożył na podłodze mapę. Dobrą, wojskową. Zdobytą nie bez trudu dzięki poprzedniej detektywistycznej sprawie.

- Tysiące akrów - szepnął. - Po co?

- Tego jeszcze nie wiem. I nie wiadomo, skąd wezmą forszę. - Bob drapał się po głowie. - Urząd Miasta potwierdził, że tacy inwestorzy się zgłosili. Musi ich być co najmniej trzech. Tego wymaga prawo. Ale tam wciąż mieszkają ludzie. Stoją ich domy, warsztaty i przeróżne składy. Musieliby wszystkich przeprowadzić na swój koszt.

- Ale jeśli domy się przez przypadek spalą, obowiązek zapewnienia nowego locum dla pogorzalców spada na miasto. Co do forsy... za wielebny stoi czterdzieści tysięcy wyznawców Zgromadzenia Ludu Bożego. Kto za Cloonym? - Pete rozcierał palce stóp.

- Pacjenci z Glenwood! - ucieszył się Jupiter. - Wiem od starej plotkary. Nazywa się Martha Colby i śledzi przekrety psychiatry od lat. Starcy przed śmiercią przepisują mu wielomilionowe majątki.

- A dopiero potem udaje im się wyzionać ducha, tak? - spytał Bob, poprawiając zjeżdżającą na czubek nosa okulary.

- Dokładnie.

## ROZDZIAŁ 8

### DLACZEGO MAT WILSON ZAMKNAŁ JUPITERA?

Nie skończyli narady. Przed Kwaterę Główną zajechał z piskiem opon policyjny radiowóz. George Lawson wszedł po schodkach, pobrzękując kajdankami.

- Który z was to Jupiter Jones?

Pete wybałuszył oczy.

- Zwariowałeś, Lawson? Znasz nas od stu lat! Ale George postępował jak w transie. Nie zważając na wrzaski Andrews'a i szczerze zdumienie Jonesa, zatrzasnął kajdanki na przegubach Pierwszego Detektywa.

- Znasz swoje prawa? Odczytać?

Pete zerwał się na równe nogi.

- O co chodzi, George? Chyba sam nie wpadłeś na tak kretyński pomysł, by aresztować nieletniego bez zgody opiekunów?

Lawson zmarszczył czoło.

- To nie mój pomysł, tylko Mata. Jupe nie jest aresztowany. Na razie. Mam go tylko dowieźć na przesłuchanie.

- W kajdankach?

- Taka jest procedura.

Jupiter Jones poczuł, że wali mu się na głowę cały świat. Ale nawet taki ciężar nie spowodował spowolnienia pracy szarych komórek.

- Spoko, chłopaki. Zawiadomcie wuja Tytusa. A ty, Bob, zadzwoń do ojca. Będzie miał świetny materiał do jutrzejszego numeru gazety, już nawet widzę wytłuszczony nagłówek: "Policja z Rocky Beach, zamiast zbrodniarzy, aresztowała sławnego detektywa".

Na komendzie kłębił się spory tłumek czekających w kolejce na przesłuchanie. Sprawa musiała być świeża i dość, jakby tu rzec, nie obrażając uszu, śmierdząca. Jupiter Jones dołączył do trzech robotników drogowych, dwóch strażaków i jednego pielęgniarza z karetki reanimacyjnej. Dobrze, że przynajmniej zdjęto mu kajdanki.

- O co tu chodzi? - spytał półgłosem rosłego mężczyznę w żółtej kamizelce na brudnym kombinezonie.

- Chyba o tę babę... co ją potrącił samochód.

- Jaką babę? Nic nie wiem.

- Ja też nie. Ledwie wysiadła ze starego gruchota, chyba to był trzydziestoletni ford, tak na oko, a zaraz wpadła pod nowiusieńki kabriolet.

Jupiter czuł, jak mu się poci skóra na plecach.

- Jak... jak ona wyglądała?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Naprawialiśmy pobocze po tej ulewie nocnej. Nie widziałem dobrze. Ale Harry ją widział. Prawda, Harry?

Ponurak z włosami wyłazącymi z uszu żuł spokojnie gumę.

- Baba. W dzinsach i koszulce. Miała węzełek z poszewki. Wszystko się po asfalcie rozsypało.

- I co dalej? - Jupiter nie miał już żadnych złudzeń. Stary gruchot, z którego wysiadła Sharon, był jego formem.

- Nic. Zawiadomiliśmy pogotowie. Przyjechało. Ten tam pielęgniarz ją zapakował. A teraz będzie zeznawać.

- Żyje?

- Kto? Pielęgniarz? Siedzi na ławce.

- Pytam o kobietę! - zdenerwował się Jones.

- A skąd mam wiedzieć? Tylko węzełek widziałem. Była w nim piżama, taka fikuśna. I parę drobiazgów... babskich. Tylko zdjęcie się potłukło. Znaczy... szkło.

- Czyje zdjęcie? - Jupiter mrugał niespokojnie. - Może pan pamięta?

Mężczyzna w żółtej kamizelce zaśmiał się rubasznie.

- Co mam nie pamiętać? Przecież to znana gęba. Także z telewizora. Mówią na niego wielebny. A moja stara twierdzi, że zwabia kobitki do sekty.

- Wielebny Barry Dickins? Sharon miała zdjęcie Dickinsa? W ramce za szkłem? Po co?

- Jones! Na przesłuchanie! - wrzasnął jakiś glina pośledniego gatunku. Tak pośledniego, że nawet Jupiter nigdy dotąd nie widział go na oczy.

Mat Wilson pił piwo z puszki. Cztery puste wylądowały już dawno w koszu na śmieci. Oczy sierżanta zachodziły mgłą.

- Kogo to ja widzę! - ryknął, waląc pięścią, aż podskoczyła popielniczka. - Sam sławny detektyw! Co?

- Nic - odparł spokojnie Jupiter Jones.

Znał Mata dostatecznie długo, by się nie przejmować jego wrzaskami.

- Ja ci dam nic! - zaryczał niczym lew zamknięty w klatce. - Co robiłeś z Sharon



Carter na szosie numer sześć? Wysiadła z twojego gruchota. Tak zeznali świadkowie. A Lawson widział, jak zjeżdżałeś Kanionem Oaks. Tak?

- Tak.

- I co?

Jupiter wzruszył ramionami.

- Nie mógł mi pan zadać tych pytań przez telefon? Obaj tylko tracimy czas.

Mat zmarszczył czoło. To był zły znak. Jego palce zacisnęły się na brzegu biurka.

- Będziesz odpowiadać albo na dołek! Posiedzisz w celi tak długo, jak zechcę!

Jupiter spokojnie podniósł się z krzesła.

- O którym dołku pan mówi? Tym na prawo od wejścia? Bo jest jeszcze drugi... za kibelem...

Sierżant nie panował już nad sobą. Rzucił pustą puszkę, o włos omijając przepełniony kosz.

- Lawsoon! Na dołek z nim! Natychmiast! A klucz wrzuc do studni i zapomnij o nim. Słyszałeś?

Pete ostro pedałowal wzdłuż Crescent Avenue, by możliwie jak najszybciej zawiadomić wuja Tytusa, który od godziny uczestniczył w aukcji mebli po Rosalyn, właścicielce sklepu ze starociami. To była okazja, której nie mógł przegapić. Na widok Crenshawa podniósł się z miejsca.

- Coś się stało? Jupiterowi?

Pete w paru słowach przedstawił sprawę. O dziwo, wuj się natychmiast uspokoił. Gładząc rzednącą czuprynę, wymruczał:

- W więzieniu? Chwała Bogu, że w więzieniu! Myślałem, że miał jakiś wypadek. W pace jest przynajmniej bezpieczny.

Bob Andrews tłumaczył ojcu przez telefon:

- Tato, Wilson kazał aresztować Jupitera. Przysłał po niego radiowóz, a George zakuł go w kajdanki. Teraz Jupe siedzi na dołku.

- Takie rzeczy się zdarzają, synu. Słynny Perry Mason, a nawet tak znakomity detektyw, jak Philip Marlowe, ciągle mieli na pieńku z glinami.

- Ale Jupiter jest niewinny! Tak nie wolno. Nasza konstytucja...

- Bob, nie panikuj! - papa Andrews uspokajał syna. - Zajmę się tym. Jeśli

policja postąpiła niezgodnie z prawem, wniosę pozew do sądu. Ale najpierw muszę poznać sprawę. O co go oskarżają?

- Nie wiem.

- To się dowiedz, synu. Podobno jesteś Trzecim Detektywem, zgadza się?

Bob odłożył słuchawkę. Wiedział, że ojciec musi znać szczegóły. A te szczegóły... no, nic! One się po prostu rozłążą. Jak stare, podarte prześcieradło.

“Muszę się dowiedzieć, czego Mat chce od Jupitera!” - postanowił w myślach.

Na posterunku nie było już żadnych świadków. Wszystkie przesłuchane osoby poszły do domów. Nawet Mat opuścił swój gabinet, by udać się do sędziego. Bob długo krążył, zanim odnalazł drogę do celi, w której na wyrku leżał Jupiter. Tylko żelazna krata oddzielała go od wolności. Andrews poczuł głęboki żal.

- Jupe, co oni ci zrobili? Jupe, dlaczego?

Jedyną odpowiedzią było... głośnie chrapanie. Pierwszy Detektyw spał snem sprawiedliwego. I było mu zupełnie obojętne miejsce, w którym znalazł się w czułych objęciach Morfeusza.

Awantura wywołana przez zjednoczone siły wuja Tytusa, papieża Andrewsa, a przede wszystkim sędziego pokoju Ridge'a, spowodowała natychmiastowe, bezwarunkowe zwolnienie Jupitera. On sam, z trudem dobudzony, domagał się w ramach zadośćuczynienia pizzy i coca-coli. Sam George Lawson pojechał radiowozem do najbliższej pizzerii, by dostarczyć zamówienie. Brzmiało dość tajemniczo: “Telepizza Carbonara z sosem śmietanowym, bekonem, pieczarkami, świeżą cebulą i dodatkowym serem. Do tego chleb czosnkowy z salami, pepperoni, papryką, kukurydzą i sos jalapeno”. Lawson długo ślinił ołówkę, zanim wszystko zapisał na serwetce.

- O co tu chodzi, chłopcze? - spytał gruby sędzia Ridge, ocierając spocony kark.

- O polowanie - odparł Jupiter. - Ktoś poluje na Sharon Carter. Czy ona żyje?

- Żyje. Tylko się mocno potłukła. Znasz wiśniowego jaguara o numerach...

- RBC 061 7 BW - dokończył Pierwszy Detektyw. - Jeździ nim doktor Rob Cloony. Ale także niejaki Bill Goodvin. Generalny inwestor budowlany. Co zabawniejsze, w tym samym wozie widziano wielebnego Dickinsa. Nie wiem, dlaczego ci panowie używają tego samego wozu. Ale się dowiem.

- Mam nadzieję! - mruknął sędzia wstając. - Możesz już stąd wyjść.

- Oczywiście. Jak tylko zjem pizzę.

- Coś jest na rzeczy z samochodem - burczał Bob, gdy już opowiedzieli sobie wszystkie zdarzenia z ostatnich dni.

- Masz na myśli wiśniowego jaguara? - Pete rozciągał mięśnie przy pomocy sprężyny. Na jego czole lśniły kropelki potu.

- Tak. Zetknęliśmy się z nim trzy razy - Bob rozcapierzył palce. - Raz na parkingu przed szpitalem Glenwood, drugi, kiedy zajechał na pogorzelsko. Trzeci - znów w Kanionie Oaks. Wtedy Jupiter dobrze przyjrzał się kierowcy.

- Tak - potwierdził Jones. - Ostre rysy, lisia twarz i spora szrama na podbródku. Pete otarł twarz ręcznikiem.

- Więc kto to był? Doktor Cloony?

Jupiter ssał wargę.

- Sądziłem, że to doktor. Przecież żaden z nas nie widział go wcześniej.

- Mógł to być także Goodvin. Też nie wiemy, jak wygląda. Bo przy pożarze w aucie siedział wielebny. W białej szacie, prosto z telewizyjnego programu. Tu nie ma najmniejszej wątpliwości. Bob, sprawdź rejestrację pojazdu.

Andrews zaczął klikać myszą. Bez trudu włamał się do systemu policji. Od dawna wiedział, jak to zrobić. Hasło dostępu nie zmieniało się od lat i brzmiało: Belinda. jak imię żony starszego posterunkowego Smitha. Widać wciąż miał tę samą żonę.

- Mam. Są tylko trzy jaguary. W tym dwa srebrzyste. Wiśnia burgundzka należy do... Bob zawahał się.

- Do kogo?

- To niesamowite! Zarejestrowana jest na... Sharon Carter!

Jupiter wytrzeszczył oczy.

- Co? Może się mylisz? Ona ma małe mitsubishi. Wiem, bo stoi przed jej domem.

Bob kręcił głową.

- Nie mylę się. W rejestrze właścicielką wozu o numerach RBC 0617 BW jest nasza dziennikarka.

Zapadła cisza. Jupiter gryzł paznokcie.

- Coraz większa marmolada! Tak się nie da prowadzić śledztwa. A już ją prawie przyskrzyliłem. Pytałem jak chłop krowę na granicy, co łączy dziewczynę z brodatym wielebnym sekciarzem. Ale od odpowiedzi się uchylila.

- Trzeba to jak najszybciej wyjaśnić.

- W którym jest szpitalu?

- U świętego Łazarza - powiedział Pete, wstając. - Pójdę z Lucy McCormick. Załatwi mi wejście.

- Dobrze - zgodził się Jupiter. - Może tobie szybciej coś powie. Niepokoi mnie to, że miała przy sobie fotografię wielebnego. W ramce za szkłem. Takie rzeczy nosi tylko bliska rodzina. Wszędzie ją ze sobą wozi? Nawet po pijanemu?

Bob włączył przeszukiwarke. Na ekranie komputera zaroilo się od informacji.

- Trzeci pożar - szepnęła pochylając głowę. - To był trzeci pożar w Grovenor. W ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Pete wciągał skarpety.

- Co chcesz? Stara dzielnica pełna drewnianych bud i składów. O ogień nietrudno.

- Może. Ale wciąż nie wiemy, czy to były celowe podpalenia. Policja nam nic nie powie. Pojadę do straży pożarnej. Tato robił o nich materiał. Pamiętają nazwisko Andrews. Pomogą.

- Zadania rozdane - uśmiechnął się Pierwszy Detektyw. - Ja tu sobie w tym czasie spokojnie pogłódkuję.

- Tylko nie śpij! - roześmiał się Bob. - W celi tak chrapałeś, że było cię słyhać w Sacramento.

Jupiter stał przed plastikową tablicą, na której wypisał wszystkie dane osób podejrzanych. Staral się powiazac je ze sprawa. I ze soba wzajemnie. Myslal tak intensywnie, ze nawet nie uslyszal krokow na schodkach. Dopiero gdy skrzypnelly drzwi przyczepy kempingowej...

- Jodie? - zdziwil się na widok piegowatej.

- Jesteś sam?

- Tak. Dlaczego pytasz?

Dziewczyna rozejrzala się dookoła. Wygladala na zaniepokojona.

- Przyszlam, bo... - zajaknela się, odwracajac twarz. - No nie wiem, jak to powiedziec...

- Najlepiej od poczatku. - Jupiter podsunal jedyne cale krzeslo. - Chcesz orzeszki? Solone?

Pokrecila glowa.

- Widzialam ja - wyszeptala. Jej blada twarz wygladala jakby ja naprawde ktos

posypał makiem. Ciemne piegi odcinały się od porcelanowej skóry. - Szła razem z Irańczykiem.

- Ale kto? - Jupiter starał się pytać jak najłagodniej.

- A nie powiesz Crenshawowi?

Jones szeroko otworzył oczy. Jodie była pierwszą dziewczyną, która chciała coś ukryć przed przystojniakiem, za jakiego bezwarunkowo uchodził Pete.

- A co on ma do tego? Jest Drugim Detektywem. Właśnie pojechał do szpitala świętego Łazarza. Razem z Lucy McCormick.

Jodie wybuchnęła płaczem. Łzy jak groch spływały jej po policzkach.

- Wiedziałam! - szlochała. - Ona go wyprowadzi w pole!

Jupiter podał jej pudełko chusteczek higienicznych. Był tak zaskoczony reakcją dziewczyny, że w pierwszej chwili nie skojarzył.

- Kto wyprowadzi w pole Crenshawa? Bo nie rozumiem...

- Ona! - Jodie otarła łzy, wydmuchując równocześnie nos. - Właśnie Lucy McCormick. To ją widziałam, jak szeptała o czymś z Irańczykiem. Wyglądali na niezłych kumpli...

Jupiter poczuł, że poci mu się skóra na głowie.

- Jesteś tego pewna?

Jodie szybko oddychała. Na wszelki wypadek pudełko trzymała na kolanach.

- Tak. Widziałam ich już dwa razy. Najpierw, gdy przywiózł nam lody z wytwórni Sama Sparrowa. Wtedy, gdy... znaleźliśmy to nieszczęsne ucho...

Jupiter ssał wargę.

- Lucy McCormick, o ile dobrze pamiętam, siedziała wtedy w waszej lodziarni z Crenshawem.

- Tak. Ale zanim nadszedł Pete, stała obok szoferki, z której wyszedł Aram Alawi. Pomogła mu wyjąć pojemnik...

Jupiter musiał przyznać, że to była rewelacja. Lucy McCormick z przyjaciela detektywów stawała się nagle pierwszą podejrzaną.

A to ci heca!

- Była tu u nas. W Kwaterze Głównej. Przyszła razem z Crenshawem. Chciała nam we wszystkim pomagać.

Jodie uniosła się z krzesła. Jej zielona sukienka zafalowała, odsłaniając zgrabne nogi. Była dziewczyną nieco przy kości, ale proporcjonalnej budowy.

- Chce wiedzieć, co robicie. I co wiecie. Ma powiązania z Irańczykiem. I należy

do sekty Zgromadzenia Ludu Bożego. Wcale tego nie ukrywa. Pójdę już. Radzę ci... uprzedź Crenshawa. Ale zrób to jakoś... delikatnie. Oni się znają od dawna.

Jupiter Jones długo siedział na starej kanapie z wyłażącymi sprężynami. Przypomniawszy sobie, co Pete opowiadał o szepczącej za załomem muru parze: mężczyźnie i kobiecie. Wtedy, gdy był tam pożar. Mężczyzną okazał się Aram Alawi. Kobieta mogła być... Lucy McCormick!

Delikatnie wystukał numer komórki Crenshawa. Chwilę czekał.

Bob wkraczał do remizy, wymachując egzemplarzem pisma Sun Press z dużym artykułem o ekipie Bossa Thundego. Sześciu roześmianych strażaków w pełnym ekwipunku pozowało ochoczo do zdjęcia.

- Mógłbym się widzieć z Bossem? - zapytał pierwszego napotkanego. Miał zmęczoną twarz i brudny kombinezon.

- Wrócił właśnie z akcji. O, nasze zdjęcie...

Bob stuknął palcem w podpis pod reportażem.

- Mój ojciec to napisał. Jestem Bob Andrews.

- Stan. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Czym możemy ci służyć, Bob?

Andrews zerknął na bok. Wielki czerwony wóz przechodził właśnie kąpiel. Z lśniącego lakieru spływały strugi brudu.

- Możemy gdzieś pogadać? Trzy minuty! Nie dłużej.

Stan rozłożył ręce. Miał krótkie rude kłaczki na okrągłej niczym futbolowa piłka głowie i sumiaste wąsy.

- Dobra, chodź!

Po żelaznych schodkach weszli do małego kantoru. Bob zobaczył najnowocześniejszy komputer z pełnym oprogramowaniem.

- Ale macie sprzęt! Mnie też by się taki przydał. Zapisujecie wszystkie akcje?

- Wszystkie. Od wielu lat. O co chodzi, chłopcze?

- O podpalenia w Grovenor. Dokładnie w kwadracie pomiędzy Gardner Street, Melrose Hill, placem Victoria aż po południowe wybrzeże oceanu.

Sumiaste wąsy rozciągnęły się nad górną wargą. Stan wyglądał jak zjeżona wiewiórka.

- To tajne dane.

- Jak to: tajne? - Bob uderzył dłonią w gazetę ze zdjęciem. - Społeczeństwo musi znać prawdę. Proszę...

Stan kliknął myszą.

- Były trzy pożary. Wszystkie wywołane podpaleniem. Spłonęły zakłady zbożowe, baraki na obszarze stu jardów i cztery domy. Ludzie już się wyprowadzili. Policja nie wykryła sprawców. Ale stwierdziliśmy z całą pewnością, że posłużono się benzyną. Trzy pożary i trzy beczki paliwa z tajemniczymi oznakowaniami: OM. Nie ma w Kalifornii takiej sieci. Chyba że wojskowe. To wszystko, co ci mogę zdradzić.

- Bardzo dziękuję. - Bob z żalem rozstawał się z komputerem straży. Miał ochotę poszperać w jego bezcennej pamięci. - To miło, że zechciał pan ze mną rozmawiać.

- Proszę, pozdrów ojca. Może znów o nas napisze?

## ROZDZIAŁ 9

### CO CHCIAŁA ZROBIĆ LUCY MCCORMICK?

Crenshaw kręcił się nerwowo na ławce. Od kiedy ubrana w strój pielęgniarki Lucy McCormick go opuściła, upłynęło sporo czasu. W holu, tuż przy szatni, przewijało się sporo osób. Nadszedł właśnie czas odwiedzin, a szpital świętego Łazarza był jednym z największych w mieście.

- Gdzie ona się podziała! - mruzczał sam do siebie, wypatrując białego kitla w drzwiach windy.

Lucy pojawiła się za jego plecami. Jak duch.

- Jestem. Musiałam zanieść lekarzowi zdjęcie z rentgena. Wiem, gdzie leży Sharon. Ale jest pewien kłopot.

- Jaki?

- Gliniarz pilnuje drzwi. Podobno policja podejrzewa, że ktoś może chcieć ją wykończyć.

Pete pokiwał głową.

- Sądzisz? Ten, kto polował na nią wiśniowym jaguarem? Myślał, że zginęła pod kołami, a tymczasem Sharon żyje... i może go zdradzić!

- Mam pomysł. Włóżysz na siebie zielony fartuch sprzątacza. Dostaniesz kubek i mop. Będziesz zmywał podłogę. Ja wejdę do środka z jakimiś lekami. Może uda mi się pogadać z dziennikarką. Już dawno odzyskała przytomność. Albo odciągnę gliniarza i ty wejdiesz?

- Sądzisz, że zdradzi, kto prowadził jaguara? A jeśli nie widziała kierowcy?

Lucy wzruszyła ramionami.

- Czegoś się dowiemy. Bo jeśli widziała...

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Pete, rozglądając się na boki, wszedł za dziewczyną do małego magazynku. Narzucenie zielonego kitla trwało parę sekund. Kubła i mopa wprawdzie nie było, ale znaleźli czarny plastikowy worek na śmieci. Cała konstrukcja, oparta na paru metalowych rurkach i kółkach, była lekka i wygodna.

- Dobra. Gdzie leży Carter?

- Musimy wjechać piętro wyżej. Ale nie rozmawiaj ze mną w windzie. W tym szpitalu panują dziwne zwyczaje. Personel pielęgniarski separuje się od fizycznych.

- I to się nazywa amerykańska demokracja! - syknął Pete, wkładając długie lateksowe rękawice. - Toż to segregacja... kastowa!



Sharon Carter leżała w separacie numer trzysta sześć. Przed drzwiami wejściowymi siedział znudzony gliniarz, oglądając komiks z kotem Garfieldem. Ani drgnął na widok wózka ze śmieciami.

- Sprzątnij także popielniczki! - szepnęła Lucy. - I z nikim nie gadaj. Gdyby co... nie znam cię. Nigdy cię nie widziałam na oczy... - z kieszeni jej fartucha zabrzączał telefon komórkowy. - Tak? Już? No... zrobię...

Pete cierpliwie czekał, aż Lucy skończy rozmowę. Trochę go zdziwiło, że pielęgniarki otrzymują w szpitalu zlecenia przez telefon, ale nie miał zbyt dużego doświadczenia w takich sprawach.

Lucy bez słowa zniknęła w pokoju zabiegowym. Gdy wyszła po pięciu minutach, trzymała w obu dłoniach tackę przykrytą białą serwetką. Bez cienia zażenowania ruszyła klamkę pokoju trzysta sześć.

Gliniarz zerwał się z krzesła, zrzucając komiks na podłogę.

- Tu nie wolno. Nikomu.

Dziewczyna uniosła serwetkę. Na tacy leżały dwie miseczki z kolorowymi pastylkami i strzykawka.

- Nie mam broni. Muszę podać leki. To należy do moich obowiązków. Chce pan, żeby pacjentka umarła?

Policjant nie wiedział, jak się zachować.

- Ale ja mam wyraźne polecenie, żeby nikogo nie wpuszczać.

Lucy uśmiechnęła się serdecznie.

- Nikogo obcego. Ja tu pracuję, panie władzo. No, długo jeszcze będę czekać?

Policjant wahał się, w końcu ustąpił. Dziewczyna weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. Pete tak był zapatrzony w scenę, która się rozgrywała parę metrów od niego, że nie od razu usłyszał sygnał komórki w kieszeni spodni. Zanim wyłuskał telefon, upłynęły ze cztery sekundy.

- Jesteś pewien, Jupe?

Następne minuty złożyły się na scenę jak z filmu gangsterskiego. Crenshaw pchnął wózek, przewracając gliniarza. Wpadł jak burza do pokoju Sharon. Lucy McCormick właśnie wkładała igłę strzykawki do rurki z kroplówką. Przestraszona hałasem, odskoczyła pod ścianę. Pete runął, przytrzymując bark dziewczyny potężnym chwytem. Broniła się, wierzgając nogami. Rozległ się tupot wielu stóp. Wpadli równocześnie gliniarz, lekarz i pielęgniarka oddziałowa.

- Chciała ją otruci! Ona chciała ją zabić! - ryknął Pete.

Gliniarz osłupiał. Stał z wycelowaną bronią, czekając na posiłki.

- To nie do wiary! - Bob rozkładał dłonie. - Jesteś tego pewien?

Crenshaw wciąż nie mógł dojść do siebie. W Kwaterze Głównej, gdzie znalazł się kilka godzin później, zapanowała martwa cisza.

- Cztery godziny przesłuchiwał mnie prokurator okręgowy. Zbadano lek ze strzykawki. Taki sam, jak ten w czekoladowym torcie...

Jupiter Jones przerwał milczenie.

- Już chwilę wcześniej wiedziałem, że jest podejrzana. Jodie przyszła tuż po twoim wyjściu. Opowiedziała o konszachtach Lucy z Irańczykiem. To jej głos słyszałeś za załomem muru, jej i Arama Alawi'ego. Łączy ich chyba praca dla wielebnego.

- Wielebnego? - Bob nie dowierzał. - Czyżby to on prowadził jaguara, którym chciał przejechać dziennikarkę? A ona, z miłości do sekty, trzymała jego zdjęcie w ramce, za szkłem? To jakiś obłęd!

Jupiter nerwowo wyłamywał palce.

- Mówiłem, że to się kupy nie trzyma. Ale coś między nimi iskrzyło od dawna. Tylko co? I skąd wielebny Barry Dickins znalazł się na szosie w wiśniowym jaguarze? Tym samochodem zjeżdżał z Glenwood całkiem kto inny...

Pete nie potrafił zapomnieć szpitalnej sceny. Wciąż miał przed oczami wykrzywioną wściekłością twarz Lucy. Nie, nie wyglądała na przerażoną. Raczej na osobę, której coś się nie udało. I która wie, że czeka ją więzienie. Bo za próbę zabójstwa idzie się na długie lata do pudła o zaostrzonym rygorze.

- Tylko policja może wiedzieć, kto siedział za kierownicą jaguara - wyjąkał wreszcie. - Ale po twoim wybryku z pizzą na koszt posterunku nikt nam już nic nie powie.

Jupiter obliznął wargi.

- To było najlepsze jedzenie od tygodnia! Ale faktycznie. Mat się zawziął i nie popuści. Może koroner?

- Bullit? Wykluczone. Nie piśnie ani słowem.

- To kto piśnie?

Na to pytanie Trzej Detektywi nie znaleźli dobrej odpowiedzi.

W sukurs, jak to zazwyczaj bywa, przyszedł im zwykły, najzwyklejszy przypadek. W wieczornych wiadomościach telewizja kablowa nadała reportaż z

katastrofy w szpitalu Glenwood. Jupiter właśnie jadł kolację, gdy na ekranie ukazała się Carina Lopez, paskudna szefowa administracji, z nieodłącznymi klipsami w szpiczastych uszach.

- Ale brzydka! - wuj Tytus o mały włos nie zakrztusił się grochowym puree. - Słyszałem, że zawaliło się świeżo wybudowane skrzydło. Inwestor oszczędzał na materiałach...

Jupiter nagle zamarł z widelcem w ustach. Tuż za plecami paskudy, nad jej szklanym biurkiem, które nie ucierpiało w czasie huraganu, dostrzegł duży portret w złoconych ramach. Wisiał na ścianie, a widoczny w zbliżeniu napis głosił, że mężczyzna o kwadratowym podbródku, z siwymi wąsami równo przystrzyżonymi nad górną wargą to... doktor Robert Cloony!

- Wcześniej nie zwróciłem uwagi! - wystękał Jupe. - Ale ze mnie głupiec! Przecież on wcale tak nie wygląda! - wysapał, odkładając widelec. - Ten, którego widziałem w wiśniowym jaguarze, miał wąską, lisią twarz i szramę na podbródku.

Wuj Tytus spojrział na niego ze zdziwieniem.

- O kim mówisz. Jupiterze?

- O sławnym psychiatrze ze szpitala w Glenwood. To jest nowy trop!

Ciotka Matylda wniosła pieczeń, jej zapach mile łechtał nozdrza.

- Zjedz, Jupiterze. Ostatnio źle się odżywasz. Wiesz, że tego nie znoszę.

Od rana urywał się telefon w Kwaterze Głównej. Dzwoniła Jodie, by sprawdzić, czy Pete'owi nic się nie stało, potem Pete, który zawiadamiał, że przyjedzie trochę później, wreszcie prokurator okręgowy, by ustalić jakieś ważne szczegóły związane ze sprawą.

Temu ostatniemu Jupe próbował zadać podchwytliwe pytanie:

- Czy Lucy McCormick podała nazwisko zleceniodawcy?

Głos prokuratora zmatowiał.

- Nigdy nie mówiłem, że był jakiś zleceniodawca.

Pierwszy Detektyw roześmiał się.

- Zrobiła to przecież dla pieniędzy. Ja to wiem i pan także.

- Jedno, co wam mogę powiedzieć, to że trucizna jest rzadkim lekiem. Znajduje się wyłącznie w obrocie szpitalnym. Trzykrotna dawka jest śmiertelna.

- Tyle to i ja wiem - Jupe odłożył słuchawkę.

Bob uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

- Czy on pamięta, że leki psychotropowe mają wyłącznie oddziały psychiatryczne? Szpital świętego Łazarza nie ma takiego oddziału.

Jupiter pokiwał głową.

- Zatem... wszystkie drogi prowadzą do Glenwood!

Pete pojawił się dopiero koło południa. Wciąż był w szoku. Stawiając rower obok drzwi, hałasował tak, że Jupiter wytknął głowę z przyczepy. Lewe oko Crenshawa było sine i podpuchnięte.

- Co z tobą?

- Zderzyłem się z samolotem Delta Airlines do Bostonu. Możesz nie pytać o szczegóły?

Pierwszy Detektyw wzruszył ramionami. Z podręcznika psychologii, który studiował rok temu, by zrozumieć zachowanie ludzi podejrzanych, wiedział, że nie należy dociskać pytaniami osobnika nie całkiem zrównoważonego. A Pete wyglądał, jakby nad nim przeleciała cała eskadra bombowców z floty na Pacyfiku.

- W porządku. Chcę ci tylko powiedzieć, że wybieram się do Oazy Metropol. Mam informację, że wszystkim kręci wielebny.

Crenshaw kiwnął głową.

- To ja pojedę do Glenwood. Trzeba sprawdzić wygląd doktora Cloony'ego. Podobno ten inwestor budowlany, który niesolidnie postawił nowy pawilon w klinice, to nasz... Goodvin!

- Z kim pojedziesz?

- Z Jodie. Będzie tu za pół godziny. Ta śliwa pod okiem to rezultat walki w jej obronie. Tak się złożyło, że jeden dureń z Grovenor wyraził się o niej bez szacunku. - Pete miał spuszczoną głowę. - Cały czas czuję się podle. Może to skutek afery z Lucy McCormick?

- Nie łam się. I pamiętaj, że paskuda z Glenwood może cię rozpoznać. Byłeś już tam.

Crenshaw grzebał w skrzyni.

- Wiem. Ta peruka będzie dobra?

Jupiter Jones o mały włos nie dostał kolki ze śmiechu. Widok Crenshawa w lokach afro był naprawdę śmieszny.

- Nie. Weź raczej te czarne kłaki a la hipis z lat sześćdziesiątych. I koniecznie duże okulary z czarnymi oprawkami. To cześć. Na każdego czeka dziś jakaś Oaza. Na

ciebie Cloony, na mnie Metropol...

Jupiter Jones słuchał zespołu The Drocks i pomylił zjazd autostrady. Klnąc niczym szewc w lany poniedziałek, musiał nadrobić kilkanaście kilometrów. Pamiętał, jak jechali tędy z biedną Sharon Carter.

- I kto by wtedy pomyślał, że dziewczynę spotka taki los? - mruzczał, wypatrując znajomej bramy. Ale tym razem postanowił nie dać się złapać barczystemu ochroniarzowi. Skręcił w wąską, żwirową dróżkę prowadzącą do dawnych stajni. Zatrzymał wóz za kępą zakurzonych i prawie suchych opuncji. Wybijałe szare liście zakrywały forda aż po dach. Kiedy wyszedł, rozejrzał się ostrożnie. Farma wydawała się całkowicie opustoszała. Jednak, detektyw wiedział to doskonale, pierwsze wrażenie zazwyczaj bywa mylne. Cieszył się, że dobrze wybrał miejsce. Ostre kolce kaktusów rosnących wzdłuż całego ogrodzenia były nie tylko zaporą dla koni. Także dla ukrywającego się człowieka, który umiera z ciekawości, co tak naprawdę robią tu Barry Dickins i jego wyznawcy. Tego, że nie tylko wznoszą modły do szatana, był prawie pewien. Jupiter Jones posuwał się bardzo powoli. W kieszeniach spodni i kamizelki miał cały potrzebny sprzęt: latarkę, sznur, kawałek czerwonej kredy i telefon komórkowy z silną baterią, której nie trzeba co chwila podłączać do ładowarki. Oczywiście, nie zamierzał przebywać w Oazie Metropol dłużej niż to bezwzględnie konieczne. Ale, jak wiedział z doświadczenia, życie nie jest pasmem sukcesów. Tu przeżył już jedną wpadkę. I nie zamierzał jej powtarzać. Człowiek przecież uczy się na własnych błędach. Przeważnie.

Tuż za pierwszym boksem, w którym niegdyś rżały dwulatki, a dziś wiało pustką, osłona z opuncji i rozgałęzionej juki się skończyła. Trzeba było wychynąć na wolną przestrzeń lub przeczołgać się na czworakach, bacząc pilnie, by ktoś nie ustrzelił tyłka. Jupe, chcąc nie chcąc, położył się na zapyłonej ziemi. W nozdrzach miał zapach piołunu, końskiej sierści i wysuszonego siana. Tyle zostało po niegdysiejszej stadninie. Jak za dawnych dobrych czasów, kiedy to wyruszali na skautowskie wyprawy, Jupiter Jones posuwał się na łokciach i kolanach, co jakiś czas badając otoczenie. Nic się nie działo. Gdy dopadł ostatniego boksu, usłyszał szmer. Zastygł w bezruchu.

- Wszystko w porządku, Aram? - zabrzmiał ostry, męski głos. Dochodził z wnętrza domku wybudowanego z drewnianych pali, na wzór saloonu z Dzikiego Zachodu. Swoją drogą, można tu było kręcić filmy z udziałem Indian, dzikich mustangów i stad bydła pędzonego przez kowbojów.

- Taak. Idę na piwo. - Drugi głos miał akcent, jakim posługiwał się tylko jeden, jedyny człowiek: Irańczyk o nazwisku Alawi.

Jupiter poczuł, że się poci.

- Idź. Wielebny jest teraz w lustrzanym. To potrwa ze dwie godziny. Chłopaki śpią. Nie budź ich. Pamiętaj, że dziś robimy ognisko przy Trzech Koronach. Będzie pięknie! Potem weź furgonetkę. I jedź, gdzie masz jechać.

Kroki oddalały się w kierunku baraku kuchennego.

Jupiter odetchnął. Ale nie mógł nawet drgnąć. Ochroniarz, bo to na pewno był znany mu osilek, tupał po deskach niczym stado ogierów. W końcu się uspokoił. Pierwszy Detektyw ostrożnie wystawił głowę. Usłyszał szelest w środku boksu i głośne ziewnięcie. Po chwili odezwał się równy oddech z lekkim poświstem. Facet spał. Jupiter nie miał wyjścia. Musiał dostać się do białego domu z kolumnkami. Nad gankiem powiewała flaga satanistów: odwrócony czarny krzyż i głowa diabła. Zapewne tam znajdował się tajemniczy "lustrzany". Zauważył, że w garażu pokrytym czerwoną dachówką ustawiono w równym rzędzie srebrzyście błyszczące beczki. Ku swojemu przerażeniu dostrzegł ich oznakowanie: OM.

- Oaza Metropol? - wyszeptał niemal bezgłośnie. - A straż pożarna myśli, że to z wojskowych zapasów. Zresztą, kto wie?

Przykucając co sto metrów, przebiegł do starej traperskiej studni. Ukrywszy się za ocembrowaniem, uspokajał bicie własnego serca. "Dobrze ci idzie, Jupe! Tylko tak dalej!"

Otoczenie było niezwykle. Biały dom z gankiem na wysokich słupach przypominał nieco rezydencję dawnych osadników z Południa. Brakowało tylko plantacji bawełny i śpiewających przy pracy murzyńskich niewolników.

Jupiter ostrożnie oceniał możliwości. Wejście do domu po schodach nie wchodziło w rachubę. Stałby się widoczny niczym tarcza strzelnicza. Na czworakach obszedł dookoła białą podmurówkę. Krzaki? Świetnie. Gęste liście kwitnącej pomarańczowo bugenwilli dawały doskonałą osłonę. Ale co dalej? Drzwi? Wąskie, prowadzące chyba do piwnicy. Otwarte! To w pierwszej chwili spłoszyło Jupitera. Węszył pułapkę. Ale po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że otoczenie wielebnego było tak pewne siebie, że nie widziało żadnego zagrożenia w tych ledwie przymkniętych drzwiach. Ciemność w pierwszej chwili zaskoczyła detektywa. Gdy się przyzwyczaił, zaczął rozróżniać sprzęty: kubły, szczotki, półki pełne samochodowych części, w tym nowiutkie dekle do jaguara. I zapasowe opony.

- Bingo! - szepnął sam do siebie. Schody z białego kamienia prowadziły na parter. Tuż za donicą z chińską różą rozciągał się przestronny hol. Białe ściany pokrywały zdjęcia wielebnego i jego najwierniejszej trzódki. Zdjęcia brodacza z gubernatorem, merem Los Angeles, senatorem z partii republikańskiej. Dziesiątki powiększonych zdjęć mających uzmysłwić przybyszowi, że władca Oazy Metropol to nie byle jaka figura, tylko Człowiek Wielkiej Idei. Zbawca Świata. Wódz czterdziestotysięcznej armii wyznawców szatana. Władcy świata nad- i podziemnego.

Schody wyłożone grubym dywanem prowadziły na piętro. Po obu stronach kolumnady ustawiono wazy z zielenią. Klimatyzacja miło chłodziła. Nigdzie żywego ducha, Jupiter Jones podszedł na palcach do środkowych drzwi. Ich lustrzane skrzydła nawet nie zaskrzypiały. Uchyliły się lekko i bez wysiłku. Oczom detektywa ukazał się obszerny pokój wybity korkiem tłumiącym każdy hałas. Wieża stojąca w kącie i dwa potężne głośniki szumiały cichą, relaksującą muzyką. Tak powinny grać harfy anielskie. Ale co by robiły w przybytku szatana? Bo oto siedział, w białej jedwabnej szacie, przed wielkim lustrem. Jego czarna broda odbijała się w bocznych lustrach. Oczy miał zamknięte, ręce złożone na piersi, Jupiter przez szparę zobaczył, jak nagle, w takt muzyki, dłonie wielebnego poruszyły się. Zbliżyły do szyi, a potem...

Pierwszy Detektyw o mało co nie wrzasnął z całych sił. Z trudem powstrzymał oddech. Otwartymi ze zdumienia oczyma patrzył na spektakl, jaki przed jednym, jedynym widzem rozegrał się w całej okazałości.

- Tak wygląda prawda - wyszeptał samymi wargami, gdy szare komórki pozwoliły mu wrócić do równowagi. - Teraz rozumiem!

## **ROZDZIAŁ 10**

### **CO ZOBACZYŁ BOB?**

Andrews przetarł zmęczone oczy. Komputer wyłączył się sam. Tak, jak światło w Kwaterze Głównej.

- Znowu awaria prądu! - westchnął, wstając. - To już nie do wytrzymania! - wczorajszy artykuł napisany przez ojca dla dziennika Sun Press nie pozostawił na stanowych władzach suchej nitki. Nie dość, że po tłustych latach Ameryka pomału wchodzi w recesję, to Kalifornia znalazła się nieoczekiwanie w obliczu kryzysu energetycznego. Bob potrząsnął włosami. Wiedział, co to oznacza. Nie ma prądu - nikt nie pracuje, nic nie wytwarza. Stanie przemysł, cała Dolina Krzemowa - największe bogactwo rejonu. Wszystko dlatego, że nie ma zgody na budowę nowych stacji przekąźnikowych w samym sercu miasta!

- Ludzie! - stęknął, zamykając za sobą drzwi Kwatery Głównej. - Gdyby Kalifornii powinęła się noga, mogłoby to spowodować straty dla całych Stanów! - Nagle coś mu się przypomniało. A jeśli o to chodzi? Że też wcześniej nie pomyślał! Wystukał numer komórki Jupitera. Nic. Pierwszy Detektyw z kimś gadał jak najęty. - Trzeba to sprawdzić! Natychmiast!

Bob Andrews pedałowal ulicami miasta, dziwiąc się, że niektóre kwartały jarzą się od światła, podczas gdy inne toną w mroku.

- Piekło i sztuczna noga! - ryknął, gdy mu nagle, tuż przed przednim kołem wyskoczył samochód. Czarna furgonetka marki mitsubishi parkowała właśnie koło chińskiego sklepu z lampionami i ogniami sztucznymi. Bob znał ten magazyn starego Wonga, bo w nim robiły zakupy wszystkie dzieciaki z okolicy. Wybuchające świece na urodzinowy tort, race wystrzeliwane podczas święta Halloween, petardy błyskające milionami iskier, ubarwiające pikniki na plaży. Wszystko, co było potrzebne, by wzbogacić szary, nudny świat. Tylko że człowiek wysiadający z furgonetki miał oliwkową cerę Arama Alawi'ego. - A ten tu co? - zdziwił się Bob, stawiając rower przy jedynym rachitycznym drzewku. - Sprawdzę go! - Niepostrzeżenie podchodził do otwartych drzwi. Były rozsuwane, więc zobaczył, co chciał: dwa potężne pojemniki na benzynę oznakowane literami OM. Oprócz tego stare szmaty cuchnące smarem i... strój, jaki nakładali na siebie strażacy w akcji. - Co on kombinuje? - Bob nie mógł się zbliżyć do szoferki. Kątem oka widział kierowcę. Miał na sobie biały płaszcz z kapturem, jaki noszą wyznawcy wielbnego Barry'ego Dickinsa.



Irańczyk wracał ze sklepu. W obu dłoniach dźwigał naręcze niebezpiecznych chińskich rac typu "Pershing". Takich, których sprzedaż na terenie hrabstwa była całkowicie zakazana. Bob nie miał już złudzeń: cała ta zabawa rozegra się w południowej części miasta. W Grovenor najwyraźniej znów zapłonie wzniecony pożar. Znów spalą się domy. I znów nieudolna policja posądzi o to bezrobotnych lumpów z okolicy. Albo nielegalnych imigrantów z Meksyku, gromadzących się nocą w ruinach drewnianych składów i szop.

- Muszę temu zapobiec! - szeptał, wsiadając na rower. - Nie wiem, co o tym sądzą Jupiter i Pete. Nie ma ich, gdy są potrzebni! - pedałowal z całych sił, nie zważając na wzmagający się ruch uliczny. - Chyba wiem, o co tu chodzi! Chyba wiem, dlaczego dziś znowu rozszałe się pożar. Ale jak to udowodnić?

Pete zostawił Jodie na parkingu, razem z jej małym autkiem.

- Czekaj tu. Gdybyś zobaczyła, że więcej, zapal silnik i bądź gotowa do ucieczki. - Poprawił perukę i ogromne okulary, które mu zjeżdżały z nosa.

Porcelanowa twarz dziewczyny zbladła.

- Co się może stać? Nic mi nie mówisz, Pete. Pamiętaj, że to ja ostrzegłam was przed Lucy McCormick! - Crenshaw puścił oko.

To zawsze robiło wrażenie na dziewczynach. Ale tym razem wywołało tylko pionową zmarszczkę na czole Jodie. - Nie dam się wpuścić w maliny. O co chodzi?

Pete przykucnął.

- Powiem ci. O portret.

- Doktora Cloony'ego? Mówiłeś, że ma lisią twarz i szramę na brodzie.

- Bo tak myślałem. Ale teraz nic się nie zgadza. Błagam, nie pytaj, zaczekaj.

Zniknął w przestronnym holu. Liczył, że spotka lalkę Barbie w jej nieskazitelnym mundurku grzecznej pracownicy szpitalnej rejestracji. I nie pomylił się. Uśmiech numer cztery załatwił sprawę.

- Jestem Pete Crenshaw. Dziennikarz. Chciałbym, słoneczko, żebyś mi pomogła...

Słoneczko uśmiechnęło się szeroko. Jej zęby mogłyby służyć za reklamę pasty do zębów. Trzykrotnie wybielającej.

- Do rzeczniczki na pierwsze piętro, pokój sto siedem. Już tam są.

- Kto?

Błękitne oczy otworzyły się szeroko.

- Jak to: kto? Inni dziennikarze. Pani Carina Lopez udziela wywiadu. Jest szefową administracji i tylko ona może...

Pete przechylił się przez szeroką szklaną ladę. Miał nadzieję, że peruka nie zsunie mu się z głowy. Pociągnął nosem.

- Francuskie perfumy? - zamruczał. - Jesteś, słoneczko, najpiękniejszą dziewczyną na wschód od Hollywood! Co tu robisz?

- Pracuję.

- Mogłabyś grać w filmach Kevina Costnera.

Dziewczyna oblała się rumieńcem.

- Ja?

- Tak. Ty. Nikt ci nie mówił, że masz wspaniałą cerę, włosy i do tego figurę modelki?

- No... czasem doktor Cloony. Jak jest w dobrym humorze.

- Ale ostatnio mu się to nie zdarza, co, słoneczko?

- No nie. W ogóle go nie ma...

- Wiem. - Pete przysiadł na ladzie. Jego dłoń niby niechcący dotknęła blond pukli dziewczyny.

- Czyste złoto! - wyszeptał. - Wąsy doktora ci nie przeszkadzają? Na portrecie ma wąsy...

Dziewczyna zachichotała, składając usta w ciup. Była równie śliczna, co przerażająco głupia. Ale Pete wiedział, że to wspaniały materiał do jego celów.

- Jego wąsy? Coś ci powiem... kiedyś mu się przyjrzałam z bardzo bliska. Odklejały mu się! Słowo daję!

Pete poczuł się tak, jakby go ktoś oblał wrzątkiem. A następnie wrzucił do skutego lodem morza.

- Co powiedziałaś? Odklejały? Wąsy?

Skinęła głową, prostując się nagle.

- Spływaj! - szepnęła. - Idą!

Z windy wysiadła grupa dziennikarzy i fotografów. Na ich czele marszowym krokiem szła paskuda z uszami jak zakręcone muszle po ślimaku.

- Przepraszam, spóźniłem się! - Pete posłał Carinie Lopez uśmiech pełen zażenowania. - Mogę dołączyć?

Szefowa administracji zmarszczyła nos.

- Telewizja, radio, dziennik?

Pete Crenshaw na moment stracił rezon. Nie chciał się podszywać pod papę Andrewsa, którego wszyscy tu obecni na pewno znali.

- Studio Universal! - wykrzyknął z ulgą. Na tym terenie czuł się jak ryba w wodzie. Jego własny ojciec pracował tam od wielu lat. I, choć nie był związany z działem public relation, tylko z efektami specjalnymi, nie miało to w danej chwili żadnego znaczenia.

Ostry profil madame Lopez jeszcze się zaostrzył.

- A co tu ma do roboty studio filmowe?

Pete już złapał drugi oddech. W sytuacjach skrajnie trudnych zawsze okazywał się najlepszy.

- Mamy nakręcić reportaż. Skala zniszczeń jest tak duża, że może to wejść jako prawdziwy obraz do filmu.

Rudy chudzielec z programu informacyjnego telewizji zaprotestował:

- To bezprawie! Nie wolno mieszać gatunków. Moja stacja już pokazała skutki huraganu.

- Ale to doktor Cloony mnie zaprosił! - powiedział Pete, marząc o tym, żeby kłamstwo wydało się jak najpóźniej. - Telefonował do Universalu. Osobiście!

- Doktora nie ma od... od... - zająknęła się administratorka.

- Od dwóch dni! - dorzuciła brunetka z porannej prasy regionalnej. - Nikt nie mógł nawiązać z nim kontaktu. Czy to nie dziwne? Podobno widziano go, a raczej jego samochód, w południowej dzielnicy miasta.

- Tam, gdzie ostatnio szaleją pożary... - Pete znów sondował sytuację.

- Nonsens! - zaśmiała się sztucznie Carina Lopez, pobrzękując złotymi klipsami sięgającymi ramion. Crenshaw wiele potrafił wybaczyć kobietom, ale nigdy braku elementarnych podstaw dobrego smaku. - Tam były potrzebne karetki pogotowia! Cóż doktor Cloony mógłby pomóc? Jest psychiatrą. Czy to już wszystkie pytania? Bo muszę...

- Nie wszystkie! - Crenshaw upierał się jak małe dziecko, rozzłoszczone, że mu odmawiają lodów cynamonowych. - Chciałbym wiedzieć, jaki związek ma ucho odcięte staremu tancerzowi w waszym prosektorium z pojemnikiem z lodami w dzielnicy Grovenor? Dokładnie w kawiarence "Zielony Słoń"? I dlaczego ucho dostarczył wasz pielęgniarz o nazwisku Aram Alawi?

Szmer głosów zaskoczonych dziennikarzy zabrzmiał niczym zbierająca się burza. Ale nikt nie zdążył zareagować, bo okrzyki zdziwienia całkowicie zagłuszył

sygnał policyjnego radiowozu. Pete miał tylko tyle przytomności umysłu, by silnym “nelsonem” przytrzymać uciekającą Carinę Lopez. Teraz już doskonale wiedział, czemu wąsy doktora Roba Cloony’ego czasami się odklejają.

Z radiowozu wysiadł Mat Wilson. Stał jak Gary Cooper w filmie “W samo południe”, na szeroko rozstawionych nogach. Jego ręka niebezpiecznie zbliżała się do pasa na biodrach.

- Trzymaj ją, Crenshaw - powiedział z szerokim uśmiechem. - A państwu już dziękuję. Możecie wrócić do swoich redakcji. W sprawie aresztowań odbędzie się konferencja prasowa w biurze koronera Bullita. - A swoją drogą - dorzucił przez zaciśnięte usta - tego nie skojarzyłem!

- I o co właściwie chodziło? - ciotka Matylda wniosła puding z rodzynekami. Trzej Detektywi go uwielbiali.

- O największy przekręt finansowo-inwestycyjny stulecia! - odparł Bob. - Niejaki Bill Goodvin, energetyk z zawodu, wymyślił już trzy lata temu wielki plan pozyskania na własność gruntów w południowej dzielnicy Rocky Beach.

- Ten Goodvin, który chciał zbudować Scenic Parc? - dopytywał się wuj Tytus, ssąc pustą fajkę. Palić przestał już bardzo dawno temu.

- To bzdura na użytek ekologów! - roześmiał się Jupiter Jones. - Nigdy nie miał zamiaru budować niczego innego poza... stacjami transformatorów!

- Co takiego? - ciotka Matylda nakładała na talerze wielkie porcje, polewając je sosem porzeczkowym.

- A tak! - wtrącił Bob, z ukontentowaniem wachając wspaniale pachnący deser. - Awarie prądu były częściowo spowodowane przez obecnych właścicieli stacji. Niedoinwestowani, remontowali zbyt długo. Mieli za to dostać kupę pieniędzy. Chodzi o miliony dolarów.

- Za to, że wyłączali miastu prąd? - wuj wciąż nie rozumiał.

Obecna przy stole Jodie Thomas skinęła głową.

- Potem zaczęły się dziwne pożary w sąsiedztwie naszej kawiarni. Strażacy wspominali w raportach o prawdopodobieństwie podpalenia. Ale władze miasta i policja nic nie zrobiły.

- Też byli w zмовie? - ciotka załamywała dłonie.

- Raczej... zlekceważyli sprawę. Oleli ją, jak mówią w mojej dzielnicy. W końcu płonęły stare baraki. Sądziło się, że to robota okolicznych lumpów, których tam jest sporo.

Ale zaczęły płonąć domy mieszkalne. I wtedy pojawił się wielbny Barry Dickins. Razem ze swoimi wielbicielami zaczął straszyć, że moce piekielne zagarną i pochłoną cały dobytek mieszkańców. To trwało jakiś czas. Ludzie się zaczęli wyprowadzać...

- Co ma do tego wielbny Dickins?

Jupiter Jones roześmiał się głośno.

- Spryciarz! Długo trwało, zanim go rozszyfrowałem i przekazałem telefonicznie informację na posterunek policji. Mat Wilson nie uwierzył mi w pierwszej chwili. Ale gdy podałem wszystkie szczegóły, oszalał. Zebrał swoich chłopaków, zawołał do pomocy Federalnych i zrobił niezły zjazd na Oazę Metropol!

- Nic nie rozumiem! - stękał wuj Tytus.

- Ja też na początku nie rozumiałem! - Pete odłożył widelec. Napił się soku. - Nie skojarzyliśmy. No... to nie było do przewidzenia!

- Ale co, u Boga Ojca! - wrzasnęła ciotka.

- To, że Wielbny Barry Dickins i Bili Goodvin to... jedna i ta sama osoba!

- Wyglądali inaczej - wuj machnął dłonią, o mały włos nie strącając półmiska.

- Oczywiście. Barry miał czarną brodę i gęste brwi. Wszystko sztuczne. Wspaniale maskował twarz. Nauczył go tego jego najbliższy wyznawca. Były pracownik charakteryzatorki w wytwórni filmowej Warner Bros. Spec nad spece. Wielbny raz był brodatym kaznodzieją, innym razem szurkiem o wąskiej lisiej twarzy, ze szramą na podbródku.

- Dobrze - zlitował się wuj - ale sami mówiliście, że do wykupienia terenów w południowej dzielnicy potrzebne są olbrzymie fundusze. Miliony dolarów. Skąd wielbny... to jest inwestor Bill Goodvin miał je wziąć? Z banku?

- Z banku także - skinął głową Bob. - Chase Manhattan obiecał mu sześćdziesiąt milionów na zakup terenu. I odroczenie spłaty na dziesięć lat.

- Skąd to wiesz? - zdenerwowała się ciotka. - To tajemnica bankowa.

- Nie dla Boba! - uśmiechnęła się piegowata Jodie. - On jak zechce, to...

- Nie zdradzaj moich sekretów! - rozłościł się Andrews. Włamać się do czyjegoś komputera to jedna sprawa, ale przyznać się do hakerstwa... o, to całkiem co innego. - Nie zapominajcie, że śledztwo wymaga pewnych danych. Nawet bankowych. Gdy chodzi o dobro kraju...

- I co dalej? Miliony z banku to przyszłość. A przecież Bill musiał już mieć część forsy. Wiem, bo...

- I miał, wujku Tytusie. Miał. Z kliniki Glenwood. A ściślej z zapasów

testamentowych starych, bardzo bogatych aktorów i ludzi filmu. Umierali co jakiś czas w tajemniczych okolicznościach. A swoje potężne często majątki zapisywali...

- Goodwinowi? Dickinsowi? - ciotka przysiadła na brzeжку krzesła.

- Nie. Doktorowi Robertowi Cloony'emu. Właścicielowi kliniki psychiatryczno-geriatrycznej w Kanionie Oaks.

Wuj pomachał dłonią.

- On też jest w to zamieszany? Szanowany chirurg...

Trzej Detektywi wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Oczywiście! - Bob klaskał w dłonie. - Miał takie wspaniałe, siwe wąsy, co, Pete?

- Czasem mu się odklejały. - Crenshaw wyraźnie bawił się sytuacją. - Jego współpracowniczka i asystentka Carina Lopez niezbyt uważnie przyglądała się szefowi.

- Cóż, doktor Rob Cloony lubił podszcypywać swoje pracownice. Jedna zwróciła uwagę...

Wuj Tytus patrzył na ciotkę Matyldę z taką zgrozą, jakby za stołem siedziały cztery śmiejące się hieny, a nie młodzi, mili ludzie.

- Odklejały się? Wąsy? Chcesz powiedzieć, że...

- Że Rob Cloony to także Bili Goodwin i Barry Dickins! Jeden w trzech postaciach. Jak szampon przeciwłupieżowy z odżywką i witaminami. Tak, moi drodzy - Jupiter Jones podniósł palec. - Był jeden chytry. Udawało mu się tak egzystować przez trzy lata. Gdyby nie my...

- I ja! - pisnęła Jodie. - To ja odkryłam powiązania Arama Alawiego z Lucy McCormick.

- A to kto? - ciotka miała dość. Siedziała podparta na łokciu, próbując powiązać tajemnicze wątki.

- Wspólnicy szefa. Irańczyk straszył ludzi. Podrzucił obcięte ucho, zatrzał tort, organizował podpalenia domów i "występy" wielebnego z całą oprawą ogni sztucznych i innych tricków technicznych. Jeśli ktoś bardzo chce wierzyć, że szatan opanuje świat, to... wystarczą mu takie hece. jeśli zaś chodzi o Lucy... - Bob zawahał się. - Była pielęgniarką u świętego Łazarza. Truła pacjentów. Także w klinice Glenwood.

- Lucy mieszkała obok nas. W dzielnicy Grovenor. Było jej łatwiej. To ona w końcu miała uśmiercić Sharon Carter. Dziennikarkę z The Californian Sunbeams... Bo...

- Gdyby nie Pete, już byłoby po niej! - Jodie z uwielbieniem wpatrywała się w

Crenshawa.

- To osobny problem, którego długo nie potrafiłem rozszyfrować - włączył się Jupiter. - Sharon miała powiązania z wielebnym. Z początku sądziłem, że należy do jego cichych wyznawców.

- Dziennikarka?

- Tak. Myślałem, że należy do Zgromadzenia Ludu Bożego.

Ciotka plasnęła w dłonie.

- Ludu Bożego? Przecież to... sataniści!

Pete roześmiał się szeroko.

- Wielebny Dickins dobrze wiedział, co głosi. Nie zaproszono by go do radia i telewizji, gdyby głosił jawny satanizm. Bredził, co mu ślina na język przyniosła. Aż dziw, że udało mu się zgromadzić pod sztandarem aż czterdzieści tysięcy wyznawców w całych Stanach. Ale wróćmy do Sharon. - Jupiter upił łyk soku. - Też nie wiedziałem, co ich łączy, bo dziennikarka była na niego nieprawdopodobnie wściekła. Ale... miała ze sobą zdjęcie brodacza oprawione w ramki.

- I co się okazało?

- Wyjaśnił to koroner. W szpitalu. Barry Dickins był jej wujem. Bratem ojca. To ojciec był na zdjęciu. Barry się tylko charakteryzował na jego wzór i podobieństwo. Ich prawdziwe nazwisko brzmi Goodvin. Zaczynając pracę w mediach, Sharon przyjęła pseudonim Carter.

Bob potrząsnął włosami.

- To prawda. Barry Dickins - wuj - obiecał bratanicy, że ją urządzi w telewizji. Miała przeprowadzać transmisje z jego wystąpień. Naszą Sharon miotała nieprawdopodobna ambicja. Chciała szybko zostać telewizyjną gwiazdą. Nie przypuszczała jednak, że jej skłonność do gadulstwa po alkoholu stanie się dla wielebnego niebezpieczna. Tak niebezpieczna, że zechce zlikwidować Sharon.

Zapomniał tylko, że wiśniowy jaguar jest na nią zarejestrowany.

- Zabić? Bratanicę? - Jęknęła ciotka.

- Tak. Ceną morderstwa było ukrycie faktów. A Sharon piła jak smok. Sześćdziesiąt milionów z banku i spadki po zmarłych ważyły więcej niż życie jednej dziewczyny - dokończył Pete.

- A nasza ukochana policja nic o tym wszystkim nie wiedziała? - zdenerwował się wuj Tytus.

- Policja! - prychnęła ciotka. - Stary Mat Wilson dawno powinien pójść na

emeryturę. Gdyby nie to, że gra w karty z koronerem...

- Raczej z prokuratorem okręgowym. I nie w karty, tylko w golfa! - roześmiał się Bob. - Policja jednak stanęła na wysokości zadania. Niby nas lekceważy, ale gdy Jupe zadzwonił z Oazy Metropol...

- Byłem tam sam jak palec. Gdyby nie telefon komórkowy... Dostałem się do pokoju lustrzanego i tam zobaczyłem!

- Co?

- Jak Barry Dickins przeobraża się w doktora Cloony'ego! Zdejmował przed lustrem swoją brodatą gębę z... gutaperki!

- To taki elastyczny materiał. Można z niego ukształtować każdą twarz. Coś na kształt maski - tłumaczył Pete przerażonej ciotce Matyldzie.

- W filmach się nim posługują. Całe Hollywood pełne jest sklepików z przeróżnymi maskami. Czasem korzystają z nich gangsterzy. Oczywiście, materiał, którego używał Goodvin, był najwyższej klasy. Prawie niewidoczny.

- I co dalej? - wuj nerwowo gryzł fajkę.

- Zawiadomiłem Wilsona, że musi natychmiast przyjechać do Metropolu. Powiedziałem też o beczkach z benzyną oznakowanych literkami OM. Uwierzył. I chwala mu za to. Trzeba było widzieć, jak zajechały radiowozy! Towarzystwo pryskało przez kłujące opuncje, aż kolce jęczały. Wyłapali wszystkich. Mat osobiście zerwał z twarzy Goodvina sztuczną szramę. To była heca!

- Podobnie jak w Glenwood! - rozmarzył się Crenshaw, puszczać oko do Jodie. - Sam złapałem uszatkę. Boże, co za paskudna baba! Dała mi dubla w żołądek, ale jej nie puściłem. Będzie siedzieć. Za to, że przygotowywała truciznę dla pacjentów. Robiła ją z trzech specjalistycznych leków. Jej prawą ręką była Lucy McCormick. Czeka ją na wyrok w więzieniu o zastrzonym rygorze.

- A Bili Goodvin?

- Też dostanie za swoje. Malwersacje finansowe, wzniesienie pożarów, zginęło parę osób... kazał zastrzelić podpalaczy, żeby nie zostawić świadków.

- A wszystko to w naszym miłym, bezpiecznym, spokojnym Rocky Beach - westchnęła ciotka, nakładając detektywom nowe porcje pudingu. - Jeden ma kopalnię złota, a drugi nadciśnienie. Tak mówił wielebny Dickins w telewizji. I miał, do diabła, rację!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.